



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartał. tal. pr. 1
sgr. 20.

WSPOMNIENIE TATRÓW

Z MARZEŃ O SZAREJ GODZINIE

skreślił

Kazimierz Gliński.

JULIANOWI IHNATOWICZOWI

na pamiątkę wspólnie odbytej podróży w Tatry.

Nie poemat o Tatrach, lecz tylko kilka urywków
ze wspomnień wysnutych szarą godziną; nie pieśń
o nich, lecz tylko dźwięków kilka zabłąkanych gdzieś
w pamięci, niby dalekie echo przebrzmiałej nuty
z dawno minionych lat, niosę Tobie, serdeczny
druhu. Gdy zmrożone zostaną surowym krytyków
sądem, Ty je rozgrzejesz ciepłem swojego serca,
wspomnisz o dawnym przyjacielu i pomyślisz:—
szczęśliwe to były czasy!

Dnia 25 Stycznia 1875 r., w Wasylówce.

* * *

Przez Ukrainy bezbrzeżne obszary,
Niosąc bałwany śniegu, wiatr przelata,
W powietrzu jęczą pomieszane gwary
Niby lamenta i krzyk, i płacz świata,
Przeleknionego wichrów nawałnicą—
Niby Tytanów bój za gwiazd granicą.
Szczęśliwy! komu dobra dola płuży,
Kto w gronie druhów, lub w rodzinnem kole
Przepędza chwile w czasie takiej burzy;

Kto śladów cierpień nie widząc na czole,
Nie powie, gdy się myśl w smutku zanurza:
A! i w mem sercu taka sama burza!

Pośród milczących ścian mojej komnaty
Posępny, smutny i samotny jestem.
Na szybach białe mróz maluje kwiaty,
Wiatr zimny w okno uderza z szelestem;
Zegar, co głośno godziny dnia mierzy,
Czasem zasyczy, stęknie i uderzy.
Skrząco się pali ogień na kominku,
Swawolne błyski tu i tam biegają,
Znużona ziemia śpi; ale spoczynku
Nie ma myśl moja—jakieś mary wstają,
Powiewnym płasem dokoła mnie płyną,
Wiją się, płaczą i mgłą się i giną.
Gdzież ma samotność? W milczącej komnacie
Widm zagrobowych wiąże się łańcuchy....
Znajome dawne twarze i postacie
Stają, przechodzą i nikną jak duchy,
Szeroką wstęgą w głębie się zatoczą,
Jak mgły srebrzyste ponad wód przezroczą.

I pusto znowu i cicho dokoła,
Zegar miarowo dygoce na ścianie;
Doleci czasem z pobliskiego siola
Pianie kogutów, albo psów szczekanie,
Czasem przeciągle w kominie wiatr jęknie,
Płomień się w górę podniesie i pęknie;
Znów wstaje widmo blade, jak cień Wandy,
Z łona fal srebrnych przy blasku miesiąca.
Na czole wiją się kwiatów girlandy,
Nad czołem gwiazda płonie, senna, drżąca,
Niby natchnienia duch—siłą tajemną
Pędzone, płynie i staje przedemną.

O! znam cię, cieniu umarłej kochanki
Z tym smutkiem w oku, z licem przez ból zbladłem!
W szczęśliwe życia mojego poranki,
Ja senne czoło na twoją pierś kładłem,
Myśląc, że razem tak pójdziem bez końca
Przez życia burze do słońc i za słońca.
Czyś przyszedł dawne rozbudzać wspomnienia,
Zwątpienia łamać zamarłą nadzieją?
Grać smutniej duszy wdzięczną pieśń natchnienia,
W zgasłe popioły serca, co nie tleją
Już iskrą żadną, wdmuchnąć ogień życia,
Ożywić serce to blizkie rozbicia?
Zapóźno, duchu lubyl!.... drogiej ręki
Dotknięcie dzisiaj trupa nie poruszy....
Jest ból nad bóle, są męki nad męki,
Niepodśluchane nigdy krzyki duszy.
Dość, gdy męczarnie silną serca wolą
Wewnątrz się skupią, strawią i przebolą.
Precz, lube widmo!

Znikł duch tajemniczy....

Znów głucho, pusto—tylko niezmęczony
Język zegaru wciąż liczy i liczy.
Z większą się mocą zrywa wiatr stłumiony;
Szaleje, jęczy—i tak nieprzemiany
Gadają: wicher i zegar ze ściany,
I dusza nie śpi.—Myśl, raz rozbudzona,
Nieprędko do snu swoje złoży skrzydła...
Nowych mar tłumy cisną się do łona,
Nowych obrazów jasne malowidła
Promienną szatą tęskne serce kryją,
I coraz głośniejsze dzwony wspomnień biją.

Mile są dla mnie te głosy, te szare
Mroki wieczoru.... Wysłute marzenia

Witam z radością, jak znajome stare.
 Julianie! twego dziś szukam spojrzenia,
 Twojego serca—bo wśród ludzi wielu
 Do ciebie tylko mówił: przyjacielu!...
 Długośmy razem w pielgrzymim odzieniu,
 Z księgą i piórem, te piękne, te nasze
 Zwiedzali kraje i w polskich lip cieniu
 Słodkiego miodu wychylali czasie,
 Dni lepszych życząc i spełnień, odwiecznych
 A niewcielonych dotąd snów serdecznych.
 Dawno to było; lecz może te chwile
 Wspominane tutaj przed pamięcią twoją
 Przeleca, błysną, jak srebrne motyle,
 Co się do słońca złotego wyroją
 Skapać się w jego blasku—i potrąca
 Duszę twą niby harfy strunę drżącą...
 I może, zapomniany dawno, stary
 Druh twój ku tobie dłoń wyciągnie wdzięczną,
 I wraz z nim pójdziesz gonić złote mary,
 Jak to bywało niegdyś, w noc miesięczną.
 I zaprowadzi cię siła tajemna
 Nad senne brzegi Dniepru albo Niemna.
 Ja skoro poszlę myśl do owych czasów
 Pamiątek drogich liczne wstają tłumy,
 Czuję powietrze dawne i woń lasów
 I słyszę znane jakieś dźwięki, szumy,
 I do dawnego wraca wszystko życia,
 Od mar płomiennych aż do serca bicia.
 Więc sposepnieje starą troską czoło,
 Po co ból wznawiać—i tak nie wesoło!
 Hej! śmiechu więcej!... Z pamiątek skarbnicy,
 Z pasma żywota nic wysnuję złotą—
 Przed tobą błysnę nią jak błyskawicy
 Wstęgą promienną, i wspomnień tęsknotą
 Ja na twej duszy zagram i nastroje
 Na swoją nutę smutne serce twoje.

Nim ogień zgaśnie, nim wicher przewieje,
 Nim do snu ciężka powieka się zmruży,
 Wyśpiewam tobie przeminione dzieje,
 Jeden epizod Tatrzańskiej podróży,
 Zbudzonej myśli skrzydeł już nie spętasz;
 Westchniesz, gdy ciebie spytam:—Czy pamiętasz?

IRLANDYA

RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł).

Epoka I.—1169—1535.

Henryk II król angielski miał sobie nadane bullą papieża Adryana IV-go z r. 1156 prawo zwierzchnictwa nad Irlandią.

Awantura Dermota króla Leinsteru, który porwał żonę O'Rourke'owi królowi Meathu i był za to wypędzony z kraju przez Roderyka O'Connora starszego króla Irlandii, a następnie wezwał na pomoc Anglo-Normanów—była drugim pretekstem.

Pierwsza wyprawa Anglo-Normanów do Irlandii miała miejsce w r. 1169. Ostateczne i całkowite podbicie tego kraju nastąpiło dopiero na początku w. XVII-go za panowania Jakóba I.

Łatwość, z jaką Anglo-Normanowie usadowili się w Irlandii, tłumaczy się: 1-mo przez brak wszelkiego węzła politycznego między mnóstwem drobnych, niezależnych od siebie władców Irlandii, ich źle oznaczone stosunki i ciągle niezgody;

2-o przez tę okoliczność że jeszcze w połowie IX-go wieku kusili się o podbicie Irlandii Duńczykowie, a po długich i krwawych walkach nie mogąc tego dokonać, utrzymali się tylko na wschodnim i południowym wybrzeżu wyspy, gdzie założyli między innymi handlowe kantory (a później miasta) Dublin i Wexford. Irlandczycy, dość silni do oparcia się wzrostowi panowania przychodniów, nie mogli ich jednak zupełnie wyparować, i w epoce nowego najścia Normanów żyli z Duńczykami mniej więcej w pokoju. Gdy zaś Normanowie wylądowali właśnie na wschodnim wybrzeżu, przez Duńczyków zajętem, a ostatni słaby tylko stawiali opór, wtedy Irlandczycy, pominawszy to, że poprzednie walki musiały ich osłabić, niebardzo gorliwy brali udział w odpieraniu nowych najezdców, gdy z przestachem, jakiego nabawiali ich ostatni, mieszało się ukontentowanie na widok blizkiego upadku dawnych wrogów, Duńczyków.

3-o przez nadzwyczajnie potężny w owym czasie wpływ dworu Rzymskiego. Duchowieństwo Irlandzkie, wielką w swym kraju mające powagę, jedyny w Irlandii stan dobrze uorganizowany, na stałych oparty zasadach i prawach—ulegało w zupełności władzy papiezszej, i skoro Henryk II obwoływał się przyjacielem pokoju i sprawiedliwości, przyrzekał święcie zachować prawa i przywileje wszystkich stanów, zapewnić pokój wewnętrzny, żądając za to tylko tytułu zwierzchniego pana Irlandii, do którego pretendował, nie z własnego popędu, lecz z posłuszeństwa papiezszej bulli, duchowieństwo Irlandzkie wyższe oświadczyło się za nowym monarchą, i wogóle kraj pobożnością i uległością władzy kościelnej słynący, nie był usposobiony w takich okolicznościach do jednomyslnego i dzielnego oporu.

Przyczyny dla których ostateczne i całkowite podbicie Irlandii przez Anglików było tak trudnem i dopiero w wieku XVII nastąpiło, były następujące: Nasamprzód, toż samo rozdrobnienie i zupełny brak spójności politycznych sił Irlandii oile ułatwiły pierwsze usadowienie się, o tyle czyniły trudnem dalsze rozszerzanie się zdobywców, którzy, niemając jednej skoncentrowanej siły do zwalczania, napotykali ustawicznie pojedyncze, odosobnione wstręty, i nawet w zajętej przez siebie części kraju nigdy spokojnymi być nie mogli dla wybuchających co chwila tu i owdzie powstań. Aż do panowania Elżbiety zawojowana przez Anglików przestrzeń Irlandii nigdy nie przechodziła trzeciej części tego kraju, a często była daleko mniejszą.

Blizkie Anglii sąsiedztwo było drugą główną przyczyną tak powolnego postępu zdobycy. Rasa najezdców z dwóch składała się żywiołów: normandzcy rycerze, podrzędne w Anglii zajmujący stanowisko i szukający w Irlandii obszernej szych posiadłości i godności wyższych, i tłum pospolitego ludu bretońskiego, saxonskiego i duńskiego pochodzenia. Pierwsi opanowywali ziemię, aby żyć pracą obróconych w niewolę krajowców, drudzy osiadali w miastach, aby się handlem i przemysłem zbożać. Owóż tedy ani ci ani tamci, właśnie dla blizkości Anglii, nie sadowili się w nowo zdobytym kraju szczerze, bez zamysłu o możności powrotu; nie obierali go sobie ostatecznie i bezpowrotnie za swoją ojczyznę, co dałoby im bezwątpienia i więcej energii dla zwyciężenia i więcej roztropności i oględności w postępowaniu ze zwycięzonymi. Dla pana angielskiego Irlandia była fermą: bo nie stracił swych posiadłości w Anglii; dla kupca zaś była ona jakby kantorem tylko. Tak przynajmniej rzecz się miała po większej części. Ztąd obojętność dla nowej ojczyzny a ciągle sympatyje dla dawnej; ztąd opłakane tak często wydalenia się dziedziców irlandzkich do Anglii. Ta właśnie łatwość powrotu do pierwszej ojczyzny czyniła zdobywców niesprawiedliwymi i okrutnymi; bo nie przywiązani stanowczo do losu nowego kraju, nie byli powodowani w swoich postępkach ani uczuciem konieczności powodzenia, ani obawą klęski bez ratunku.

Dalej, zamiast ścisłego połączenia się z sobą i zmieszania z podbitym ludem, jak to uczynili w Anglii dla oparcia się władzy królewskiej, panowie normandzcy, nie obawiając się już jej w Irlandii, zaraz po podbiciu części tego kraju, zaczęli mie-

dzy sobą krwawe niesnaski, osobistymi widokami wzniecone, i po klęsce najazdu nastąpiły dla Irlandii klęski, zaciętych waśni ambitnego egoizmu zdobywców. Odległość Anglii zbyt mała, aby ich mogła spowodować do ostatecznego przywiązania się do podbitej ziemi, dosyć była znaczną przeciwieństwem dla usunięcia nienasyconych i kłótliwych baronów spod wpływu króla—jedynej władzy mogącej ich poskromić.

Wypuszczanie ziem w dzierżenie lenne przez wielkich baronów, posiadaczy obszernych włości, mnóstwu podrzędnych feudatoryuszów pod warunkiem służby wojskowej, znaczne dochody, niepodległa jurysdykcja całkiem wyłączająca powagę królewskich urzędników i równość, mniej więcej zupełna wielkich posiadaczy, — wszystko to dało poznać Irlandii całą okropność feudalnej anarchii bez króla, który na nieszczęście nie był jednak tak daleko, aby zdobywcy nie oglądali się na jego pomoc i otrzymać jej nie mogli.

W takim składzie rzeczy musiał zniknąć interes ogólny; nie mógł się utworzyć żaden zgodnie obmyślany plan zawojowania; każdy niewiele się troszczył, widząc zmniejszenie ogółu zdobyczy, byleby tylko swoje rozszerzył włości.

Niewielki też mieli interes starania się o dobro podbitej ludności, której nie potrzebowali przeciwko królowi; mogli ją bez bojaźni uciskać, bo zawsze na pomoc króla rachowali.

Co większa, sama władza królewska przyczyniała się samochoć do utrudnienia zdobyczy i do nieszczęść podbijanej ziemi.

Obawiali się królowie, ażeby po całkowitem zawojowaniu Irlandii, po rozdzieleniu między siebie ziemi, nie połączyła się ich szlachta zbyt ściśle z podbitymi. Z takiego zlania się mógł się nowy naród utworzyć, dość silny dla zyskania sobie niepodległości i następnie rywalizowania z Anglią. Chcieli tedy, aby zdobywcy nigdy nie przestali być Anglikami, a więc zależnymi od pierwszej ojczyzny i króla. Wszystkie nieszczęścia Irlandii wynikły z tej fatalnej sprzeczności interesu królewskiego z dobrem krajowców i samych zdobywców, których istotnym interesem było jaknajprędzkie zmieszanie się z pierwszymi. Ztąd ten dziwny pół feudalny, pół kolonialny zarząd, gdzie zadaleko król, aby się mógł utworzyć dobrze uorganizowany feudalizm, za możni wassalowie, ażeby to była posłuszna królewska kolonia. Ztąd Irlandia jest raz bardziej pod wpływem anglo-normandzkich feudatoryuszów, którzy często przez naturalną w ich położeniu skłonność łączyli się z krajowcami, to znowu pod wpływem władzy królewskiej usilnie sprzeciwiającej się temu połączeniu. Dlaczego zaś Henryk II-gi wprowadził do Irlandii feudalny system, tak przeciwny jego monarchicznemu widokom na Irlandię, łatwo się da wyrozumieć przez rozważenie, jak były w owej epoce ograniczone środki korony, jakie jej położenie w feudalnej hierarchii. Bez wassalów nie mógł król ani Irlandii podbić, ani jej zatrzymać; musiał ją więc między nich podzielić. A przecież trzeba było myśleć o utrzymaniu swoich prerogatyw. Tu znowu Anglia, w innych względach zbyt bliska, zadaleką była od Irlandii. Przez samą nieobecność króla niepodległymi stawali się wassalowie i nasycali swoje egoistyczne żądze wbrew królewskiej powadze i dobru krajowców. Łączyli się oni z królem tylko w tej ostateczności, kiedy egzystencya kolonii do tego stopnia była zagrożona, że sami blizcy byli utraty swych lenności a monarcha swego zwierzchnictwa. Skoro niebezpieczeństwo przeszło, walka rozpoczynała się nanowo. W tej ciągle wznowiającej się walce, mógłby wreszcie odnieść triumf interes królewski nad interesami wassalów, gdyby tylko angielscy monarchowie mogli albo w Irlandii rezydować, albo przynajmniej często ją odwiedzać. To było wszakże niepodobienstwem; bo zawsze sprawy daleko poważniejsze wewnętrzne i zewnętrzne nie pozwalały im ani na chwilę Anglii opuścić. W przeciągu 400 lat tylko Henryk II-gi, Jan-bez-Ziemi i Ryszard II pokazali się w Irlandii, i to nie na długo. Musieli tedy królowie sprawować rządy tego kraju przez namiestników, zbyt mocnych, jeżeli byli z liczby wielkich irlandzkich wassali: bo wtedy zamiast powściągnięcia ostatnich, ich stronę przeciwko koronie utrzymywali; zbyt słabych w prze-

ciwnym razie, bo niemogących skutecznego wywierać wpływu.

Wielkim interessem Anglo-Normandów po wkroczeniu do Irlandyi było jaknajprędzje zlanie się z krajowcami; do czego za pierwszy środek służyć mogło przypuszczenie tychże do wszelkich praw i przywilejów. Wprost przeciwnie postępowali zdobywcy; królowie dlatego, ażeby nie dać się zmieszać rasie angielskiej z irlandzką; baronowie zaś dlatego, ażeby uciskana przez nich ludność do prawa angielskiego odwoływać się nie mogła. Anglicy przynieśli do Irlandyi sąd przysięgłych, a po nadaniu Karty, stanowili sobie prawa w osobnym parlamencie, składającym się, nakształt angielskiego, z Izby lordów i Izby Gmin. Ale od korzystania z tych liberalnych instytucyj wyłączeni byli irlandzcy krajowcy, równie jak i od uczestnictwa w prawach korporacyj municypalnych i wszelkich przywilejów miejskich, które królowie obdarzyli angielską ludność przemysłową w miastach Irlandyi.

Tak tedy na jednej ziemi nie przestawały istnieć dwa zupełnie oddzielne, głęboko nienawidzące się pokolenia, różne narodowością i prawami.

A mimo to, wszystko taka jest konieczność naturalna łączenia się ras ze sobą pomieszanych, że kiedy zwyciężeni nie mogli się stawiać Anglikami, to ostatni przyjmowali nieraz narodowość irlandzką, i bez względu na wszystkie przeszkody zlanie się dwóch plemion było rzeczą dosyć bliską już w XIV wieku—gdyby polityka królów nie przedsiębrała najenergiczniejszych przeciwko temu środków. Tak na przykład Edward III przez parlament złożony z oddanych sobie członków, postanowił w 1366 r. kary za wszelkie łączenie się Anglików z Irlandczykami i za wszelkie przyjmowanie narodowości ostatnich—jak za zbrodnie stanu. (Małżeństwa, stowarzyszenia, ubiór, język, noszenie wąsów, przyjmowanie na urzędy osób irlandzkiego pochodzenia i t. d. 1).

Smutne skutki takiego systematu wykazują się najjaśniej w następujących dwóch faktach.

W r. 1406 w trzysta przeszło lat po najściu angielskim, Irlandczycy spalili przedmieście Dublina, a w środku panowania Henryka VIII, to jest w najświetniejszej jego epoce, posiadłości angielskie w Irlandyi rozciągały się nie więcej jak na 20 mil angielskich od brzegów morza (około 30 wiorst).

(Dalszy ciąg nastąpi).

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Spuszczał tak oczy, mówił z taką obawą i niepokojem, iż nie mógł w Ludmile obudzić żadnej nieśmiałości; podała mu więc rękę, dziękując, i rzekła:

— Któż wie? może będę zmuszoną z uprzejmości pańskiej korzystać.... Nikogo tu nie znam. Wedle rady jego zajeżdżam do francuskiego hotelu i zaraz poszukam sobie prywatnego mieszkania....

— O które bardzo łatwo — dodał, usuwając się już Sitko, którego piękność i sposób obejścia się swobodny przybyłej widocznie oniesmiały coraz bardziej.

— Dziękuję panu serdecznie.

Sitko kłaniał się cofając, i nie ledwie chciał przeproszać za to, iż śmiał się tak narzucić.

Widać w niem było jednego z tych nieszczęśliwych ludzi, którzy, siebie samych lekając się zaw-

sze, po świetle idą, potykając się, oglądając, trwając i nie dochodząc do niczego.

Ludmila widziała w nim, jak skłonną była zawsze, przez samą Opatrzność zesłanego jej służkę. Nie była ona przesadną, lecz z przeszłości wyniosła to przekonanie, że są istoty osierocone, nad którymi Opatrzność obejmuje opiekę i przychodzi im w pomoc, gdy one same sobie radzić nie mogą. Sitko ten jakiś zdawał się jej umyślnie wyprawionym na dworzec po to, aby jej oszczędził kłopotu. Nabrała otuchy, straconej nakrótka, gdy w pierwszym momencie stała nieporadna i strwożona.

W hotelu wszystko już się składało lepiej, ale tu długo pozostać nie mogła: musiała się rachować i oszczędzać. Zaledwie spocząwszy krótko, puściła się na poszukiwanie mieszkania. W hotelu dano jej niektóre skazówki.

O umeblowane pokoje i pokoiki, z wejściem osobnym lub wspólnym z gospodarzami, nigdy w Dreźnie trudno nie było. Ceny naówczas były przystępne, a prawie wszędzie gospodyni ofiarowała się karmić i obsługiwać. Prędzej więc, niż się spodziewała, Ludmila mogła się przenieść z hotelu tegoż dnia jeszcze do starej wdowy po urzędniku, która złote góry obiecywała swej lokatorce, okazując odrazu czułość tak nadzwyczajną, iż kto inny, lepiej ludzi znający niż Ludmila, powziąłby podejrzenie, iż szczerą być nie mogła. Ona i w tem widziała czuwającą rękę Opatrzności.

Wieczór był tak piękny, urządzenie się tak mało czasu zabrało, iż Ludmila tegoż dnia jeszcze zapragnęła pojechać na Friederichstadt, do grobu ojca.

Serce jej biło, jakgdyby w istocie miała ujrzeć cień tego, który nietylko ojcem jej ze krwi był, ale ducha jej rodzicem i piastunem. Weszła na ten cmentarz tak zaludniony grobami, iż między niemi już na nowe prawie nie zostało miejsca. Co krok spotykając polskie napisy i nazwiska, wzruszona, przechodziła ciasne uliczki, szukając mogiły, do której ją dozorca, mruczając, prowadził. Nazwisko hr. Seibora było w jego książce zapisane, ale grób, choć niedawny, bez kamienia, bez krzyża, bez kwiatów, chwastem okryty, zaciśnięty do kątki, pod mur i zwaliska starych pomników, nie łatwo odszukać przyszło.

Na nią spadał obowiązek, do którego się nie poczuwała rodzina: położenia choćby prostej płyty, któraby przypominała zmarłego. Uklękła na małym kopcu i popłakała nad grobem człowieka zgasłego tak smutnie, tak nagle, na wygnaniu. On, który tylu innym stawiał krzyże i pomniki—sam nie miał żadnego. Córka postanowiła w duszy, nie zwlekając, o kamień się postarać.

Sitko mógł jej w tem być pomocą. Choć tak krótko go widziała—miała ufność ku niemu. Była przekonana o jego dobrym sercu. Z niedoświadczeniem młodości i dawnych złudzeń z lat szczęśliwszych, Ludmila skłonną była we wszystkich widzieć cnoty, nieposądzając nikogo ani o fałsz ni o zdradę. Nawet pobyt u stryjostwa nie zraził jej, bo go miała za wyjątkowy, a hrabinę i Celinę za istoty, które się raz w życiu tylko spotyka. Od grobu ojca wróciła wzruszona, lecz zmęczona, silniejsza. Chciała zaraz nazajutrz rozpocząć starania jakieś i kroki dla studiów, znalezienia nauczyciela; lecz uczuła się znużoną, a nim się mogła na coś ważyć, potrzebowała wprzód się rozpałtrzyć.

W dniu następnym galeria, szczęściem, bezpłatnie była otwartą. Ludmila pośpieszyła do niej. Z podróży swych z ojcem znała ją i przypominała sobie mglisto, bo naówczas nie mogła jeszcze ocenić tego, na co bardziej z ciekawością niż wiadomością patrzyła. Bawiło ją to, zajmowało, ale nie przywiązywała wagi do dzieł, z których tylko chwilowe czerpała wrażenia. Teraz przychodziła tu jak ubogi po jałmużnę nauki, po natchnienie. Ten tłum obrazów miał do niej przemówić; ona miała, nie przemknąć się wśród nich, ale żyć się z niemi i czerpać z dzieł geniuszu nieśmiertelne jego słowo. Słowo to, ta mowa, nie była jej jeszcze jasną, ni zrozumiałą: potrzebowała się jej uczyć.

Z pewną więc trwogą weszła do świątyni. Serce jej biło niemal tak żywo, jak u grobu ojca. Pierwsze spojrzenie na ten tłum dzieł, na te szeregi ich długie, w których każda jednostka innym

mówiła głosem, o innym wieku, każda myśl wyrażała odmienną w sposób sobie właściwy — było jakby wniściem w gwar pomieszanych dźwięków, wśród których żadnego jasno, wyraźnie rozeznąć nie było podobna.

Głuszyły się one wzajemnie.

Wśród tych mistrzów potrzeba było błazni i szukać sobie tego, ku któremu serce uczuło się pociągnięciem, któryby był najsympatyczniejszy i mówił najzrozumialszym językiem.

Ludmila, obdarzona już dość wyrobionym smakiem, pojęła to, przebiegając galerią, czego niekiedy długie dopiero uczy doświadczenie: iż piękno i sposób, w jaki się ono wyraża, jest do nieskończoności urozmaicone, że żadna szkoła nie jest absolutnie wyższą, ani wyłącznie w posiadaniu prawdy.

Każdy z tych obrazów był w sobie zamkniętym, całym światkiem, ale tych światów odrębnych było tysiące. Rafael dla niej nie zabijał Holbeina, ani Rembrandt Murilla. Wszyscy oni mieli rację bytu i prawo stać na równi z sobą, nie wyjmując Hondekoetera i Van Huysuma z ich kurami i kwiatkami. Lecz poczucie to rozmaitości piękna, uznanie jej, wprawiało właśnie młodą, chciwą nauki artystkę w największą niepewność kierunku, jaki sobie obrać miała—drogi, która dla niej była przeznaczoną. — Potrzebowała jakiegoś natchnienia z góry, jasnowidzenia, co by wskazało ścieżkę. Ludmila nie kusila się o wielkie zadania sztuki. Malarstwo religijne było w jej oczach kapłaństwem, do którego nie czuła się powołaną; dzieje wymagały studiów rozlicznych i kobiecie nieprzystępnych: malarstwo rodzajowe, portret, krajobraz i pogardzona *nature morte*, zostawały do wyboru.

W każdej z tych gałęzi być oryginalnym, mieć swe piętno, odznaczyć się, doprowadzając do doskonałości dar, jakim natura wyposażyla: było zadaniem już wielkiem.

Błądziła tak po galerii, zatrzymując się coraz przed nowem arcydziełem — gdy jeszcze bardziej niepokąźny, jeszcze ubożej ubrany, bledszy i bardziej zbiedzony Prosper Sitko, zbliżył się do niej z wielką nieśmiałością.

Witał ją bełkotaniem tak niewyraźnym, że go z początku ledwie zrozumieć mogła. Ludmila była mu rada.

— Ja tu umyślnie zaszedłem—odezwał się, mnąc w rękach kapelusz, już pomięty bardzo—bo prze-czuwałem, że pani będzie w galerii, a może czem służyć sobie każe.

— Dziękuję panu za jego troskliwość — rzekła Ludmila, zbliżając się ku niemu — a! wiele rzeczy nauczyć-byś mię mógł, bo ja nic nie wiem. Widzę tu mnóstwo szczęśliwych, którzy już miejsca sobie zdobyli i kopiuja. Wolnoż każdemu, pierwszemu lepszemu, korzystać z tych skarbów?

— A, nie—odparł Sitko—na otrzymanie miejsca przed jednym z tych obrazów, które są uznane czy też z nałogu i tradycyi wystawione na najczęstsze reprodukcje, potrzeba udowodnienia pewnej kwalifikacyi, dozwolenia dyrektora, a wreszcie szczęśliwego trafu, by było gdzie usiąść i postawić stalugę.

Tu, jak wszędzie—mówił Sitko, osmielając się, po cichu — są pewne dzieła mistrzów i nie-mistrzów, które wszyscy kopiuja. Uczniom wskazuje one tradycya, kopistom z powołania ich popularność i nadzieja łatwego zbytu.

Przed parą głowami Rembrandta, „Głowę Chrystusa w cierpieniach“, przed „Carlo Dolce“, kilka obrazkami małej wartości ale łatwo dającymi się ocenić, tak łatwo jak „Modlitwa dziewicy“ panny Bądarzewskiej,—siedzą nieustannie kopiści, do nich się docisnąć nie można. Sławna „Dzieweczka podająca czekoladę“ przez Liotarda słynie w Dreźnie na równi z „Madonną“ Rafaela; Teatralne „Wypędzenie Agary“ Van der Werffa, jakby z porcelanowego półmiska zdjęte, ludzie też admirują.

Sitko ruszył ramionami.

— Przecież—przerwała, odpowiadając, Ludmila—i ci artyści, co do prostaczków i do ludzi mniej wykształconych przemówili farbą, uśmiechem, myślał jasną, nie są bez zasługi. Oni popularyzują sztukę i otwierają drogi.

— Ja też i ich szanuję, choć ich nie miłuję—szepnął Sitko.

1) Przez ten sławny akt wszyscy przemarodowieni w Irlandyi Anglicy zostali wywołani, a dobra ich nowoprzybyłym z Angli rycerzom rozdano.

— A któż panu do serca najbardziej przemawia?—spytała ciekawie Ludmiła.

Sitko się zasromał i kapelusz zaczął mieć w ręku jeszcze silniej.

— Ja mam niedorzeczne gusta—odparł—przynajmniej się do nich nawet nie mogę.

I słowa już więcej dobyć z niego nie potrafiła Ludmiła. Z goryczą i sarkazmem, choć zawsze bojaźliwie, coś przebąkiwał. Przechadzali się tak zwolna wzdłuż galerii, gdy Sitko, z wielkim respektem, uchyliwszy się na stronę, wskazał Ludmiłie starego, słusznego wzrostu mężczyznę, którego piękna głowa, o rysach szlachetnych, zwróciła się i tak jej uwagę.

Był to ówczesny dyrektor galerii, wielki mistrz, co tak wspaniale odtworzył Biblią całą, duszą i sercem artysta, najlepszy z ludzi, najsympatyczniejszy—Schnorr von Carolsfeld.

Z żywocią młodzieńczą przebiegał on te zbioru, nad którymi miał nadzór zwierzchni, a młodzi cisnęli się doń z taką poufalością i zaufaniem, jak dzieci do ojca, i widać było ten serdeczny stosunek, jaki ich łączył z niemi.

— Będiesz pani musiała—szepnął—przedstawić się Schnorrowsi, ale tego obawiać się nie trzeba. Niema przykładu, aby komu opieki i życzliwości poskapił.

— O! do tego jeszcze daleko—westchnęła uczennica—nie poważę się tu stanąć, dopóki nie będę pewniejszą siebie.

Sitko skłonił się jej i, obawiając być natrętnym, odszedł prędko.

Ludmiła postanowiła naprzód pod kierunkiem jednego ze słynniejszych profesorów pracować kilka miesięcy, nimby dalej mogła iść o swej sile. Wybór tego przewodnika stawał się trudnym. Żaden z tych, co naówczas mieli wziętość największą, nie był jej sympatycznym. Wskazywano jej Hübnera, naówczas już sposobiącego się zająć po Schnorrze wysokie stanowisko. „Dysputa Lutra“, którą poszła zobaczyć, wstręt w niej obudziła do niego. Obraz był teatralny, wymuszony, nieczemnie pociągający, chyba śmiałością, z jaką się nań porwał twórca. Nie powiedziała nic, lecz nie zgłosiła się do niego.

Tymczasem, jak w pierwszej chwili wszystko się zdawało składać łatwo i dobrze, tak teraz występowały trudności, zawody małe, niespodzianki nieprzyjemne.

Sentymentalna gospodyni, która się oświadczyła z takim współczuciem dla sieroty, w słowach była zawsze najczulszą, ale wyzyskiwała jej niedoświadczenie w sposób najbezwstydniejszy. Koszta rosły razem z niewygodami.

Ludmiła wesoło to znosiła, opierając się oile mogła, na wiele niechcąc zwracać uwagi. Głodna w domu, żywiła się, przynosząc sobie małe zapasy, które jej córki gospodyni lasowały.

Częste jej odwiedziny w galerii, zatrzymywanie się przy obrazach, pytania, które czasem kopiującym zadawała, wreszcie sama jej piękność i uderzająca dystynkcją i szlachetnością postawa, zwracały na nią oczy wszystkich. Ciekawi umieli się dobadać kto była, i powołanie artystyczne odgadnąć.

Sitko rzadkokiedy się przed nią przesunął, a rzadziej jeszcze zacząć się ją ośmielił.

Jednego dnia, gdy stała w myślach zatopiona przed obrazem Pawła Weroneza, mężczyzna, którego już razy kilka w galerii i w ulicach, jakby ścigającego ją postrzegała, a starała się uniknąć, grzecznie się do niej przybliżył.

Powierzchniowość świadczyła o nim bardzo korzystnie: był piękny, twarz miał typu wyszlachetnionego, czarne oczy rozumne, postawę zręczną, ruchy człowieka nawykłego do bywania w świecie, swobodne, ubiór skromny i smakowny. Jednakże mimo to wszystko nie obudził ani współczucia, ani chęci bliższego poznania. Wyraz jego ust miał w sobie coś wymuszonego, fałszywego, chód i ruchy zbyt były wystudiowane. Ludmiła, której nowe znajomości były niemiłe, bo się ich obawiała, widząc go trochę natrętnie idącego za sobą i coraz nacierającego bliżej, odwróciła głowę i udawała zajęta wielce obrazem Weroneza.

Nieznajomy stanął przy niej i, zlekka ją pozdrowiwszy, począł grzecznie:

— Widzę, że panią sztuka wielce zajmuje; ja

jestem także artystą. Z tego, że słyszał ją rozmawiającą z tym pocziwym Sitkiem, domyślał się w niej Polki. Mam dla kraju tego, z którego pani pochodzisz, jak mi się zdaje, największą sympatię. Jakiś czas żyłem w Warszawie, wyniosłem z tamtąd najmiłsze wspomnienia.

Niemogąc bez niegrzeczności uniknąć odpowiedzi, Ludmiła odparła bardzo chłodnym podziękowaniem, w taki sposób, ażeby przerwać rozmowę, skłoniła się i odeszła.

Nieznany artysta pozostał w miejscu, zakąsił usta, rzucił za nią oczyma i zdawał się być mocno urażony okazaną mu nieufnością.

O wypadku tym zapomniałaby była Ludmiła, chociaż wyrazista fizioognia artysty, mocno w jej pamięci utkwiała, ale fizioognia tylko, gdyby w kilka dni potem, znajdując się znowu w galerii i znalazłszy w niej Sitkę, nie zobaczyła. owe go nieznajomego, krążącego zdaleka i przypatrującego się pilnie.

— Kto to jest?—spytała Sitkę:

— O! to wielki człowiek—odparł pół poważnie, pół żartem, skromny rzeźbiarz. Malarz z nadzwyczajnym wistocie talentem, człowiek bardzo wykształcony, jeden z najlepszych tutejszych nauczycieli.... a jeśli pani chce, geniusz, ale—choć go admiruję, nie lubię.

Zowie się von Apold; musiałaś pani na wystawie widzieć jego obrazy. Wielostronny bardzo, maluje rzeczy rodzajowe, historyczne i śliczne krajobrazy. Zrobił w swem życiu parę portretów, o których, gdyby mi wolno było, powiedziałbym, że godne są największych mistrzów.

Ludmiła, słuchając tego opowiadania, przypomniała sobie, że wistocie na wystawie mocno ją uderzyły dwa obrazy podpisane tem nazwiskiem.

Jeden z nich wyobrażał śliczny krajobraz wichelem obalonego lasu, nad górskim strumieniem, do którego Calame-by się być mógł przyznać; drugi matkę z dziećciem, prostą chłopkę niemiecką, pochwyconą z wielkim naturalizmem i prawdą, a mimo to, wyidealizowaną doskonale, wyrażoną z miłością macierzyńską.

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

Bronisława Zawadzkiego.

Wojciech Gerson poznał publiczność warszawską z ostatnią swą wielką kompozycją historyczną, która na wystawie monachijskiej w r. 1879 zwróciła już na siebie uwagę, jeżeli nie tłumów, to przynajmniej znawców. Obraz jego: *Jadwiga i Dymitr z Goraja* cechuje się przede wszystkim prostotą i treściwością pomysłu, która zastąpiła tym razem bogactwo figur i motywów akcji bardzo w warunkach dzisiejszego gustu będące w cenie. Ulegał wpływowi czasu i Gerson w kilku obrazach o bujnej fantazyi planów; dzisiejszy obraz jego zdawałby się wskazywać artyście, iż usposobieniu jego zdolności snadniej odpowiada treść, oile bogata w żywioły akcji wewnętrznej, gry uczuć i namietności, o tyle umiarkowana w posilkowaniu się malowniczymi grupami drugoplanowych postaci. Kompozycya wielkich rozmiarów przedstawia dwie tylko właściwie postacie (parę drugorzędnych wypełnia rolę komparsów) Jadwigi i Dymitra. Artysta obrał za przedmiot malowidła chwilę, gdy zniecierpliwiona królowa porывa za topór, aby utrować sobie nim drogę przez ciężkie, zamknięte podwoje zamku krakowskiego do umiłowanego serdecznie Wilhelma, książątka Rakuz, przybyłego do Krakowa, wedle jednych historyków, dla tajemnego zaślubienia królowej, wedle innych, dla objęcia tronu Piastowskiego prawem oddawaną pobjęci królową przez Kościół, a dotąd z politycznych względów ukrywanego przed małopolskimi możnowładcami, związku. Pierwsze podanie utrzymywało się doniedawna jako pe-

wnik, a Józef Szujski wierzy mu do dzisiaj; drugie nabrało mocy od chwili wydania w r. 1878 ksiąg miasta Krakowa w tomie IV-tym „Pomników dziejowych“ (Akademia Umiejętn.) Faktem jest, że Jadwiga pilnie była strzeżoną na zamku przez kasztelana krakowskiego Dobiesława z Kurozwek i pokrywemu się tylko widywała w refektarzu klasztoru OO. Franciszkanów z ukrywającym się w domach niemieckich mieszczan krakowskich, Wilhelmem. Nie rozumiała jeszcze młoda królewska dziewczica tej surowej, nieubłaganej racyi stanu, która domagała się od niej stłumienia serdecznego affektu na rzecz półdzikiego księcia Litwy, przynoszącego Polsce państwo z wianem.

Artysta przedstawił najwymowniejszą właśnie chwilę tego niewyrozumienia przez młodą królową szczytnej roli dziejowej, jaką zakreśliło jej przeznaczenie. Słaba ręka dźwignęła topór, aby targnąć się nim na zawarte wręczające zamku: już kilka trzasek odciosanych od drzwi upadło na podłogę, mieszając się z różami, które przez kratę ponad bramą rzuca do wnętrza tajemnicza ręka. Łatwo domyślić się, że to ręka Wilhelma, który kwiatami chce usłać swej bogdanie twardą drogę ku sobie. Wtem niespodziewanie staje przed nią Dymitr z Goraja, postać wspaniała majestatem i tą powagą średniowieczną, której tradycja dzisiaj ginie, wraz z powłóczystym, malowniczym strojem. Dymitr nie wyrывa Jadwidze brutalnie topora, ale sam on bezwładnie upada ku ziemi w obliczu męża pełnego surowej grozy i cierpkiego wyrzutu w spojrzeniu. Gersonowi wybornie udało się ta postać: w układzie figury spokój i siła, gest jej wymowny ale powściągliwy, ruch poważny i szlachetny. Kompozycya głowy wysoce estetyczna i w stylu epoki pojęta, ciężki kostyum czarny ze złotym arabeskiem grubej lamy dopełnia wiernie i okazałe całości wizerunku tej warstwy narodu, do której Dymitr z Goraja należał. Podziwiamy szlachetny smak artysty w ustrzeżeniu się wszelkich szorstkich i jaskrawych efektów przy odmalowaniu tej postaci; podziwiamy szczerotę odczucia epoki, która tworzyła posagowe postacie takiego stylu. Wdzięczny kontrast z Dymitrem stanowi Jadwiga; wyobraża ona tu żywioł romantyczny, uczuciowy, w przeciwstawieniu z koturnowym patosem Dymitra. Królowa zapłoniła się jak róża; lza wstydu i cichej skargi na niedolę serca zabłysła u powiek, spojrzenie jej czuje winę i błaga o przebaczenie. Wyraz to szczerze wzruszający i z prostotą uczucia oddany. Tak więc jesteśmy tu świadkami cichego dramatu, pasowania się dwóch sił: instynktu serca ludzkiego, żądnego zadowolenia uczuć, i dziejowej myśli, wcielonej w postać magnata strzegącego dobra i przyszłej potęgi kraju. Pomimo, że dramat odgrywa się pomiędzy dwiema tylko postaciami, wydobywa się osnowa jego z całą siłą i plastyką, dzięki polotowi i wewnętrznemu bogactwu artystycznego talentu, który go odtworzył. W galerii historycznych płócien Gersona obraz ten zajmie wybitne miejsce, jako jedna z kompozycji najzdrowszych i najjednolitszych, zarówno w treściwie i głębokim przedstawieniu psychicznego motywu, jak i w zaletach techniki. Rysunek figur celuje szlachetną i poważną linią, draperya układa się z wielkim plastycznym efektem, koloryt silny i harmonijny; wogóle styl dziejowego malarstwa w całości i w szczegółach rdzennie dochowany.

Tego-to właśnie stylu braknie obrazowi *Kazimierza Mireckiego*: „Ostatnie chwile Długosza“. Umiera tu człowiek historyczny; nad łóżem jego zgromadziły się królewicę, których był nauczycielem, i dostojnik duchowny, wyższego stopnia w hierarchii, przybory noszą piętno smaku i kształtu współczesne; a jednak, pomimo tych zewnętrznych uprzedopodobnień, niema w kompozycyi istotnego prawdopodobieństwa z fiziogniomią wieku i faktu historycznego, niema tej godności artystycznego natchnienia, tego nastroju powagi, którą powleka się wspomnienie zgonu jednego z najwybitniejszych przedstawicieli ducha rodzimego w XV wieku. Układ obrazu mało oryginalny i twórczy czerpie w motywach dostatecznie już wyczerpanych; brak fantazyi, ciepła i po-

lotu w traktowaniu sceny ważnej i wzruszającej. Sam Długosz byłby jeszcze najsamodzielniejszą kreacją artysty; reszta osób, według szablonu łatwej manieri pojętych, bez wyrazu, sztywnych i drewnianych w geście i ruchu, pobieżnie modelowanych, nie stwarza tej atmosfery smutku i pogrzebienia, które otaczać zwykło łoża umierającego. Jałowe i clike wrazenie obrazu podnosi jeszcze mdły i suchy koloryt, który ożywia się i charakterystycznej dobitności nabiera tylko w odmalowaniu martwej natury, jakoto: żółtej kotary nad łożem, księgi pergaminowej na kłęczniku i t. p. Tu znać gruntowniejsze studia kolorystyczne. Większą wartość przypisać należy drugiemu obrazowi Mireckiego: „Zgon Horeszki”, stanowiącemu ilustracją opowiadania klucznika w drugiej pieśni „Pana Tadeusza”. Tu znać już pewne pogłębienie się uczucia i wyobraźni w artyście; postacie umierającego Horeszki i przypadłego do nóg jego sługi — mają charakter i stwarzają wzruszający moment liryczny, z którego szczerością i siłą nie licuje, co prawda, wyraz obu kobiet. Układ sytuacji trafny i efektowny, a dobór szczegółów jak skrawek pejzażu, widny z balkon, komnata i t. p. naturalny i z pewną dystynkcyą malowany.

Panna Magdalena Butowtt-Andrzejkowiczówna obdarzyła salon Towarzystwa malowidłem większych rozmiarów: „Tatarzy rzucający kości o łup”. Przed namiotem z płacht, na czerwonym kilimku, grupa dzikich, zwierzęcych a z wybitną siłą dosadnej charakterystyki typowej odmalowanych postaci złowrogię dla Polski plemienia, rzuca kości o młodą, piękną brankę, zrabowaną gdzieś we dworze szlacheckim, a uwiązaną przy palu. Za chwilę przeznaczenie wyda swój wyrok, i szlachetna dziewczica dostanie się jednemu z tych brutalnych zwierząt, pomimo, że matka osłania ją swoim ciałem jak stalowym pukierzem, i wzrokiem tygrysicy pożera czyhających na cześć jej córki rozbójników. Może jednak w danej chwili, więcej niż matka, pomoże pięknej brance młody Tatar, leżący na boku, z fizioznomią bardziej ludzką a nawet szlachetną. Młody on i piękny; może potrafi uszanować młodość i piękność dziewczicy i wydrze jej zapasnikowi, któremu los szczęśliwy rzuci ją w darze. Postacie obu grających, pożądlivość wygranej, rozbewstwienie natury ludzkiej, wyłobione w trwałych już, typowych prawie liniach oblicza, dzika gra instynktów — wydobywają się przejmującym wyrazem na obu twarzach, a zwłaszcza u tego, który rzucił swoje kości i z zaciśniętymi zębami i pięścią czeka teraz, przyczajony na ziemi, na los przeciwnika. W tej jego figurze jest tak potężne zacięcie charakterystyczne, taka furja żądzy, taka siła expressyi w spojrzeniu, a nawet w skureczach mięśni, taka fantazja w doborze łachmanów, pokrywających pstro i niedostatecznie brudne jego ciało, że stanowi on kulminacyjny żywioł akcyi i obrazowi całemu nadaje właściwy charakter. Wszystkie inne postacie niemniej są zajmujące pod względem wyrazu i malarskiego traktowania, ale siłą namiętności ta góruje nad innemi. Najwyższą to własność zaletą pędzla panny Andrzejkowiczówny, że wszystkie postacie u niej żyją i czują silnie i pierwotnie: burza dzikich instynktów i porywających wzruszeń wre dokoła, panuje nad nią tylko jak łuk tęczy, spokojny, męzki wyraz młodego Tatara, który zdaje się wiedzieć, że on a nie kto inny rozwiąże tę straszną, rozdzierającą sytuację. Artystka ma istotną siłę obrazowania wewnętrznych form uczucia i namiętności, podobnie jak i zewnętrznych kształtów typu plemiennego. Za prawdziwą zasługę poczytać należy artystce i ten szlachetniejszy takt kobiecy, który pozwolił jej delikatnie uchylić tylko z ramion bieliznę na pięknej brance. Kobiety nasze, zatrudnione w literaturze, nie okazują zwykle tej poświęćliwości w malowaniu rzeczy jaskrawych; niejedna artystka, właśnie dlatego, że kobieta, nie ośmieszkałaby stwierdzić swojej niepodległości. Nie zwiększyłoby to zapewne wartości obrazu, ale stwierdziłoby prawa kobiety, jak stwierdzić je usiłuje niejedna powieść i komedia rodzimego pióra w ostatniej dobie. W układzie obrazu artystka ujawniła szlachetny smak i umiejętność grupowania. Koloryt, pełen życia i ognia, uderzająco przypomina

w naturze i werwie tonu, Brandta. Dalsze plany nieco zaniedbane, otwierają perspektywę na malownicze życie tabornu łupieżczego i obraz zniszczenia rozległych niw. Jeżeli sprawdzi się, iż panna Butowtt-Andrzejkowiczówna zamierza osiąść w Warszawie i otworzyć tu prywatną szkołę malarstwa! to powinszować nam przyjdzie warszawskiej kolonii artystycznej wzbogacenia się tak nieposlednią siłą malarską.

Obraz *Adryana Głębockiego*: „Wiec słowiański” dobrze pomyślany, ma wiele fantazyi a nawet erudycyi, ale w wykonaniu żadnej nie znosi krytyki i jako fantasmagorya dyllentyzmu, nie powinien być znaleźć się na wystawie Towarzystwa. Wskazane tu obrazy wyczerpują dział kompozycyj historyczno-rodzajowych, dość ubogo, jak widzimy, reprezentowany obecnie na wystawie. Pokażniej przedstawia się pejzaż i malarstwo rodzajowe w ściślejszem znaczeniu słowa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, w Styczniu 1881 r.

Pierniki Czyńskiego. — Karnawał. — Koncerty. — „Opatrzność”, towarzystwo ku usunięciu żebractwa. — Wieniawski. — Mleczarnia higieniczna. — O niższego rzędu grzybkach, przez Dra Wojciecha Urbańskiego. — Ogrody północne, Strumilly w uzupełnieniu i przerobieniu wydaniu profesora Tynieckiego. — Praktyczny podręcznik do obliczania procentów. — Zarys dziejów literatury polskiej, przez profesora Kulickowskiego. — Świat powieściowy, pismo peryodyczne. — *Dziwne karyery*, powieść Jana Lama. — Humorystyczne powieści autora *Kłopotów starego komendanta*. — Muzeum imienia „Dzieduszyckich”. — Wyprawa myśliwska do Syrii. — Kornel Krzczunowicz.

(Dokończenie).

Zachęcony przykładem rodziców, wyrostkiem jeszcze będąc, powziął on zamiłowanie historyi naturalnej i zamiar zgromadzenia zbioru przyrodniczego. Początkowo miał to być zbiór ornitologiczny ptaków krajowych. Z czasem atoli weszły w zakres i inne działy przyrodnicze. Było to porze, kiedy w szkołach austriackich nie uczono wcale historyi naturalnej; jedynym więc środkiem ku poznaniu przyrody mogły być tylko usiłowania prywatne, tem trudniejsze i cenniejsze z tego względu, tudzież dzieła opisujące własności i piękności naszej przyrody, jak Wincentego Pola, Zeisznera i kilku innych. Pierwotnie uzupełniał się zbiór hr. Dzieduszyckiego głównie z okolic obwodu Żółkiewskiego, gdzie rodzice jego przemieszkowali. Gdy wszakże z biegiem czasu i wzrostem zbioru dowiedziano się o nim w kraju, zaczęto nadsyłać godne przechowania osobliwości przyrody krajowej z najdalszych okolic. Liczba darów wzrastała na równi z rozbudzonem zajęciem i wnet gabinet ornitologiczny rozszerzył swe ramy i na wszystkie inne działy historyi naturalnej i przerodził się w muzeum obejmujące w dzisiejszym swoim stanie, nie tylko faunę i florę polską, ale także geologią i paleontologią. Charakterystycznym znamię tego muzeum jest to, iż zawiera ono tylko przedmioty krajowe, jakoż przedstawia dokładnie przyrodę naszą, i jest pod tym względem jedynym w świecie. Najbogatszym jest zawsze dział ornitologiczny i entomologiczny owadów krajowych. Dział zoologiczny najmniej liczny. Z muzeum łączy się biblioteka z doborowych dzieł przyrodniczych złożona.

Ponieważ krewni założyciela, jak on sam oświadcza we wstępie do wydanego obecnie katalogu, dopomagali mu gorliwie w pomnażaniu zbiorów, przez nadsyłanie licznych z rozmaitych okolic przedmiotów, więc aby wywdziżyć tę pomoc, tudzież uczcić pamięć rodziców, nadaje hr. Włodzimierz swemu muzeum, otwierając je na użytek publiczny, nazwę: *Muzeum przyrodnicze imienia Dzieduszyckich*. Muzeum pozostaje do śmierci założyciela jego własnością. Dalsze zaś losy jego, po śmierci hr. Włodzimierza, zabezpieczone zo-

stały aktem prawnym, ustanawiającym kuratoryą i Zarząd Zakładu, tudzież potrzebne na utrzymanie jego fundusze. Zbiory niniejsze powstały przeważnie z przedmiotów w darze nadesłanych, ale nakłady pieniężne na ich uporządkowanie i utrzymanie w całości czynił sam założyciel ze swej prywatnej szkatuły. Nie mógł on zbudować odpowiedniego gmachu na pomieszczenie zbiorów niniejszych, lecz zmuszony był umieścić je w zakupionej na ten cel kamienicy, gdzie się obecnie znajdują. Z funduszków przeznaczonych na muzeum, wszystkie być musiały dotąd obracane na przeniesienie i urządzenie zbiorów; gdy atoli rzecz ta już została dokonana, przeto po ukończeniu klasyfikacyi i wydaniu drukiem katalogów, fundusze te będą obracane na wydawnictwa naukowe ze zbiorami muzealnymi związek mające. Na zakończenie tych słów kilku o tym zakładzie, należącym do najciekawszych gabinetów przyrodniczych, z powodu swej cechy wyłącznie swojej, dającej bogaty a wszechstronny obraz naszej polskiej przyrody, dodam jeszcze tylko, że kustoszem dożywotnim muzeum jest p. Władysław Zontak, jeden z najzdolniejszych preparatorów społecznych, a klasyfikacją działu entomologicznego zajmował się znany z prac w tym kierunku prof. Łomnicki. Dział ornitologiczny oznaczył naukowo, uporządkował i opisał sam właściciel hr. Dzieduszycki. Ułożony przezeń i wydany obecnie katalog tegoż działu odpowiada wszelkim warunkom naukowym. Znajduje się tu także dołączony spis osób, które darami swemi przyczyniły się do pomnożenia zbiorów. Przy każdym ptaku pomieszczono też wiadomość: z której okolicy nadesłany.

W pierwszych dniach przyszłego miesiąca wybiera się ztąd wyprawa myśliwska do Azji Mniejszej. Tak jest — sprzykrzyło się już myśliwym naszym polować na drobną zwierzynę na szaraki i lisy, a choćby też nawet na dzika i niedźwiedzia w podkarpackich borach; swojskim ptaszkiem nie chce zadowolić się łowiec dzisiejszy. Jemu, jak panience wybrednej w gustach romantycznych, zachciewa się.. krokodyla, lub bengalskiego tygrysa. Od kilku miesięcy bawi tutaj przybyły ze Wschodu z Laodycei nadmorskiej (Latakia) gdzie jest konsulem hiszpańskim, Karol Brzozowski, poeta, znany na Wschodzie pod nazwiskiem *Kara Audzi*, czarny strzelec. Pod jego-to kierownictwem wyprawia się na Wschód owe grono myśliwych złożone z sześciu osób, które się dotąd zgłosiły: z chęcią uczestniczenia w tej, bądźco bądź awanturkowej i nie ze wszystkim bezpiecznej, wyprawie łowieckiej. Ochotnicy wyruszają ze Lwowa dnia 6 lutego na Bukareszt i Warnę, a ztamtąd Morzem Czarnym na Konstantynopol i Smyrnę, do Syrii, dalej pieszo wybrzeżami Morza Śródziemnego, poczem przez Damaszek oprą się może aż o Bagdad. Jeden z ochotników jest znawcą i miłośnikiem koni, zechce więc zapewne skorzystać ze sposobności i zasili stado swe końmi arabskimi rasy oryginalnej. Myśliwi wyruszają uzbrojeni w dobre flinty, kordelasy, no — i rozumie się dobry zapas napoleondorów, mający wystarczyć do końca Kwietnia, w którym-to miesiącu spodziewamy się ich powrotu. Historyografem wyprawy będzie Leopold hr. Starzeński, znany autor wielu na scenie lwowskiej przedstawionych sztuk dramatycznych, poeta i myśliwy zarazem. Łowy syryjskie dostarczą mu zasobu wrażeń dramatycznych, z których sprawozdania mają być umieszczane w tu-tejszym „*Lwocu*”.

Dnia 21 stycznia zmarł po kilkodniowej nagłej chorobie Kornel Krzczunowicz, zajmujący wybitne stanowisko w szeregu pracowników oddanych sprawom publicznym. Kraj poniósł przez jego śmierć stratę, której niełatwo zastąpić na razie, albowiem zmarły był tak wielkim rzeczoznawcą w sprawach administracyi krajowej, jakiego nie posiada Galicya drugiego w obecnej chwili. Krzczunowicz od wielu lat nieprzerwanie posłował na sejm i zasiadał w delegacyi Rady Państwa. Pomimo milionowego majątku, oddawał się gorliwie studiom administracyjnym i żył tylko zajęty sprawami publicznymi. Jako skończony prawnik wszedł do urzędowania, lecz wystąpił z biura rządowego w roku 1848 i od-

taż zaczyna się jego zawód publiczny. Wszystkie instytucje galicyjskie szerszego znaczenia: jak Towarzystwo Kredytowe, Kassa Oszczędności, Towarzystwo gospodarskie i t. d. noszą ślady pracy jego, albowiem w każdej z nich był czynnym i do utworzenia jej należał. Gdy przed laty dwudziestu rząd nakazał przedsięwziąć w Galicyi systematyczne oszacowanie gruntów, celem nowego katastru i regulacji podatku gruntowego, Krzeczunowicz, widząc jak wielkiej doniosłości dla Galicyi jest owe oszacowanie, na którego podstawie mają być obliczone stałe jej podatki, oddał się wyłącznie sprawie katastrowej i ją dążyć wszelkimi siłami do tego, ażeby przedsięwzięte oszacowanie gruntów oparte było na zasadach sprawiedliwych, co nielatwa rzecz w Galicyi, obejmującej od gór Karpackich, po wybrzeża wiślane i nadbużańskie i równiny podolskie najrozmaitsze strefy i rozmaitej wartości glebę, obok jaknajróżnorodniejszych stosunków miejscowych, na wartość gleby wpływających. Prace s. p. Krzeczunowicza w tym kierunku stanowią ogrom erudycji statystycznej, porównawczej, znajomości prawa i rozporządzeń administracyjnych, a zarazem zdumiewającej pilności. W licznych memoriałach, petycjach, rozprawach, rozwijał on z nader bystrym, ze szczegółowego badania rzeczy wynikającym poglądem, zasadnicze normy katastru, wykazywał popełnione błędy, domagał się sprawiedliwości, i w samej rzeczy głos jego wiele dopomógł sprawie katastralnej w Galicyi, która ostatecznie ma się rozstrzygnąć w przyszłym miesiącu w Radzie Państwa. Nie doczekał tego ostatniego wyniku wieloletnich swych usiłowań; choroba zaskoczyła go w przededniu wyjazdu do Wiednia; ale umarł jak żołnierz na stanowisku, bo w przeddzień skonu, pomimo oporu lekarzy, zaprosił do siebie wiceprezesa Towarzystwa gospodarskiego i ułoża śmiertelnego odbył z nim konferencję w sprawie katastralnej, poczem w godzinę stracił przytomność i popadł w malinę, która już skłoniła jego towarzyszy. Wydział krajowy zawezwał telegrafem wszystkich posłów sejmowych i marszałków Rad powiatowych, aby przybyli na pogrzeb. Ubytek pracownika, posiadającego tak rozległe wiadomości i niezłomny charakter, da się teraz dopiero, po jego stracie, w całej pełni uczuć krajowi. Przyznać to muszą ci nawet, którzy pracy jego za życia nie oceniali należycie.

Władysław Zawadzki.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Na jedną kartę, dramat w 5 aktach oryginalnie prozą przez pana Henryka Sienkiewicza napisany; przedstawiony po raz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości w d. 24 Lutego r. b.

Pan Jerzy Pretwic miał w życiu to, czem nie każdy z nas pochlubić się może: kochał rzeczy wielkie i cierpiał za nie. Natura bohatera, charakter mężko wyrobiony, więcej ideami ogólnymi niż uczuciami własnymi, więcej ludźmi niż sobą zajęty, potomek pięknej, choć nie pierwszorzędnej w kraju rodziny, po walkach i cierpieniach życia osiadł na wsi, w Galicyi, w dawnym dziedzictwie Jazłowieckich. Zdarzyło mu się bardzo szczęśliwie, że za sąsiada dostał swego przyjaciela od serca, człowieka, który mu niegdyś czynem przyjaźni swej był dowiódł, wyrывая go ze szponów śmierci: Hrabiego Drahomira; a i w tem również nikt nieszczęścia przewidzieć nie mógł, iż drugim sąsiadem Jerzego był Książę Starogrodzki, wdowiec, ojciec pięknej Stelli, i że Drahomir przyjaciela swego do tego domu wprowadził. Jerzy potrzebował coś kochać. Serce, to serce, które człowiek, najbardziej jeszcze powszechnością żyjący, dla samego siebie mieć musi, długo w ciemnicy trzymane, gdy potem na światłość wyjdzie, rwie się bezwiednie, nawet przeciw postanowieniom umysłu i woli charakteru, do życia, do świata, do szczęścia. Jerzy, człowiek niepierwszej już młodości, bo pierwszą odebrały mu, jeśli nie lata, to walki życia, zachował w duszy szlachetnej czy-

stość uczuć i zdolność kochania, ale kochania tą miłością wyższą, którą kobiety tak rzadko rozumieją, a rzadziej jeszcze uznają: miłością graniczącą z uwielbieniem, ze czcią, z religią. Widział w Stelli, nie kobietę, ale anioła jakiegoś: za tym aniołem poszedł; z tym aniołem resztę dni swych przeżyć zapragnął. Oświadczył się i został przyjętym. Dlaczego przed nim już nie uczynił tego Drahomir, choć mógł być pewnym powodzenia i u księżniczki, i u jej ojca? Jestto dla nas tajemnicą: dość, że narzeczonym Stelli jest Jerzy a nie Drahomir. Stella kocha go, ale czuje, że jeszcze lepiej kochać-by mogła; miłość jej nie jest doskonałą, pełną, spokojną; serce jej głodu jeszcze doznaje. Któż ten głód zaspokoi? Dawna jej wychowawczyni, pani Czeska, kochana jak matka, sama uważa Drahomira, za partya jakby przeznaczoną dla Stelli; żadna inna na myśl jej nie przychodzi. Oboje młodzi zblądzi: Drahomir, że się dał ubiedz Jerzemu; Stella, że mu rękę swoją tylko przez szacunek dla jego przeszłości oddała. Za błąd ten oboje ciężko odpokutują.

Złe zrobił Drahomir, że przewidywał pani Czeskiej nie ziszc, gorzej jeszcze, że po oświadczeniu się Jerzego przyjął od niego urząd rozweselacza Stelli; od takich urzędów daleko się ucieka, jeśli się, jak on, czuje demoniczny pociąg do narzeczonej przyjaciela, któremu się ocaliło życie. Wielka to godność być czyimś zbawcą; godność taką przez wszystkie niebezpieczeństwa nietykniętą przeprowadzić: to może najwyższe szczęście etyczne, najwyższe zadowolenie w życiu. Ale Drahomir jest jeszcze młodym: chce życia a nie etyki. Serce jego stoczy się jak kula z góry puszczona, z niepowstrzymaną siłą w przepaść światłości. Będzie mu jasno, ale w otchłani.

W takim stosunku stoją do siebie trzy główne osoby dramatu, zanim się ruch dramatyczny rozpocznie. Wywołuje go powrót Stanisława Józłowicza do domu księcia Starogrodzkiego. Ten Józłowicz jest synem kowala ze Stanisławowa; Książę przygarnął go i los mu zapewnił. Chciał go utrzymać w *beata mediocritas*; ale chłopiec zdolny, energiczny, czujący w sobie siłę do rozpierania ludzi łókciami, poszedł dalej, skończył fakultet prawny, potem i medyczny, i jako lekarz przy chorującym na zbytek zdrowia i zbytnią o nie troskliwość księciu zamieszkał. Trzęsie zdziennym człowiekiem i całym jego domem, w którym, jak w swoim własnym, się rozporządza. Stanisław, kolega szkolny Jerzego, należy do wielkiej rodziny *pozytywnych*, ale wobec dotychczasowego typu scenicznego *pozytywności* w komedii Narzyskiego, przedstawia się oryginalnie. Tamten dążył do zdobycia fortuny; ten chce się wdrzeć na wysokie stanowisko społeczne. Tamten był zimnym dla kobiet i uważał małżeństwo tylko za *interes*; temu głowa pała od żądz, policzki bledną, oczy gasną, tęsknota romantyczna duszę mu z równowagi wytrącić usiłuje. Marzenia jego wybiegają wysoko nad poziom: lichy znalazł chce zostać posłem na sejm, a korzystając z zaślepienia księcia i stanowiska, jakie sobie w domu jego wyrobił, myślą swą sięga — po rękę jego córki. Do poselstwa dopomaga mu agitator demokratyczny Antoni; do małżeństwa ma on sobie sam dopomódz. Usunąć z drogi obu przeciwników: to jego plan. Przy takim planie musi wierzyć silnie w to, co by nie każdemu artykułem wiary wydawać się mogło, mianowicie, że, zostawszy sam jeden na placu, nie będzie już potrzebował uprzątać z niego nowych, potężniejszych może, współzawodników i że czas sam rzuci mu Stellę w objęcia. Kobiety tak łatwo się przyzwyczajają i tak łatwo zapominają; a przytem czyż i on osobistością swoją jest znowu takim zerem, nawet przy księżniczce, aby nadziei mieć nie mógł? Zapewne: tak sobie musiał rozumować; ale, powtarzamy, fundament tych nadziei, plan tej kampanii przeciwko najświętszym prawom ludzkim — nie jest dość głębokim, nie daje nam o umyśle niegodziwca takiego wyobrażenia, jakiego by dać powinien.

Nie możemy też mieć wielkiego wyobrażenia o jego zdolności praktycznej: władania ludźmi, posuwania niemi jak pionkami po szachownicy, obezwładniania ich siły lub łamanie oporu, bo od pierwszej chwili czynu Stanisława wszyscy ludzie

otaczający go tracą siłę i stają się nieomal martwymi, bezopornymi ciałami. Ta bierność ułatwia bohaterowi złego zadanie, ale ta bierność także nie pozwala jego samego za bohatera, a otaczających go za charakteru uważać. Stanisław wychodzi z dramatu jako niegodziwiec: to widzimy wszyscy, ale nie czujemy w nim nieprawie drugoczącej potęgi, bo nie dostrzegamy na drodze jego przeszkód takich, któreby druzgotać potrzebował; widząc ich małość, on je tylko usuwa, i dobrze czyni. Ani Drahomir, ani Jerzy, ani Stella, nie stawiają mu rzeczywistej tary w charakterach swoich. Stanisław przypomina pajaka, w którego sieci wszyscy, jak muchy, wpadają. Bez wątpienia, tak bywa nieraz w życiu, ale gdy się w pierwszym akcie dało przedblask takich osobistości, w jakie rozwinąć się mogli Jerzy, Drahomir i Stella; gdy się postawiło antytezę świata, jako warowni do zdobycia i Stanisława jako wodza legionu żądź i rachub samolubnych, ruszających do szturm: należało przedstawić już rzeczywistą walkę, a nie zasadzkę. Dobrą jest pierwsza poruszająca zasada działań Stanisława: dopomaganie naturze Drahomira i logice Jerzego: pierwszego natura ciągnie do Stelli, drugiego logika będzie musiała z czasem powiedzieć: „Gmach szczęścia twego, biedny rozbitku życia, w gruzy się w rozpadł”. Potrzeba tylko popychać Drahomira po fatalnej ścieżce, potrzeba w Jerzym zazdrość obudzić, aby ostatecznie plac oczyścić i samemu na nim pozostać. Przychodzi to Stanisławowi bez wielkich wysiłków; w domu księcia rozporządza się on, jakgdyby był sam księciem; potrzebuje tylko zadzwonić, aby mieć przed sobą kogo chce: Jerzego, Drahomira, panią Czeską nawet; w sercach ludzkich gospodaruje nie gorzej: Stella ma do niego ufność wielką i zyczliwość nawykniętą od dzieciństwa wyrobioną; Jerzy ufa zupełnie szkolnemu swemu kolledze, słowu jego wierzy, i raz tylko, nieznacznie i bez następstw psychologicznych, na niego się obrusza; wreszcie Drahomir uważa go naiwnie za szczerego, prawdziwego pośrednika do Stelli. Żadna z tych osobistości, odkąd pajak rozpiął swe sieci, w stosunku do niego nie żyje prawem własnym; wszystkie tracą wzrok rozum, prawowitą miłość siebie i tego, co swoje, przezorność i zdolność bronięcia się od napaści. Wszyscy wierzą w Stanisława, w prawdę jego słów, w zacność jego zamiarów. Jakgdyby mu jeszcze bardziej chciał autor ułatwić zadanie, ukazuje nam ciągle Stellę z Drahomirem, a ani razu z Jerzym, który jednakże znajduje się w domu jej ojca, ale bądź nad jeziorem, bądź w ogrodzie — tylko nie na scenie i nie w rozmowie z narzeczoną. Człowiek do tego stopnia obywający się bez ukochanej nie mógł jej kochać, nawet ową świętą, anielską miłością, jaką wyznaje przed panią Czeską. Trzymanie Jerzego za sceną jest wielkim błędem dramatu.

Na jedną kartę Stanisław wszystko postawił, jak sam o sobie mówi w akcie piątym; a najważniejszą, najniebezpieczniejszą z tego wszystkiego wydaje nam się stawką na miłość Drahomira i Stelli. Cóż będzie, jeżeli pomimo wszelkiego prawdopodobieństwa, iż Jerzy wyzwie na pojedynek Drahomira, obaj przy życiu zostaną, a zwłaszcza zostanie Drahomir bez tego *impedimentum dirimens*, jakim być ma zabicie narzeczonego, trochę inaczej według obowiązującego w Królestwie prawodawstwa wyglądające? Rzecz prosta: rozkochani, zapomniawszy o Jerzym, prędzej lub później się pobiorą, albo też trzeba będzie trud na nowo rozpoczynać i Drahomira sprzątnąć truczną, sztyletem, fałszywym oskarżeniem, *per fas et nefas*, byle tylko sprzątnąć. Cel może nie opłacić środków: i w tem jest główne ryzyko gry Stanisława. Intryga przez niego osnuta może się nigdy przed światem nie wydać; dom księcia pozostanie nadal domem intryganta: ale cóż z tego, kiedy w tym domu może zbraknąć raznawazsze miejsca dla jego żądz, dla jego nadziei! Autor, nietylko nie uwzględnił tego momentu psychologicznego, ale go nawet zupełnie w charakterze Stanisława pominał.

Dążąc do celu, Józłowicz dopomaga naturze i logice, i bez trudu, używając za broń kłamstwa, sprowadza ostateczną katastrofę. Przychodzącemu pożegnać się z nim i bez żadnego powodu odslaniającego ból swego serca Drahomirowi, mówi,

że Stella chce się z nim widzieć; toż samo o Drahomirze powiedział był przedtem Stelli; teraz układa schadzki i ślepo wierzącego Jerzego, — który wśród podejrzeń nawet trzyma się ciągle jeszcze zdala od narzeczonej, — ukrywa między cyprysami przed pałacem, aby był świadkiem rozmowy kochanków. Rozmowa ta, to pożegnanie ostatnie, kończy się, jak kończyć się muszą w ogromnej większości wypadków wszystkie takie rozstania: połączeniem, wyznaniem miłości. Oczywiście, Jerzy daje przyjacielowi moralny, aż nadto zasłużony, policzek a Drahomir wyzywa go na pojedynek z wielkim hałasem, zagłuszającym zupełnie głos sumienia. Jerzy, teraz już jak człowiek miękki, a nie jako bohater, co się „o dwieście lat spóźnił na świat“ — idzie melancholijnie pożegnać się z kobietą — która mu wespół z Drahomirem duszę zabiła. Nie chce żyć — po co ma żyć? — zginie. W pojedynku pada, nie strzelivszy wcale do przeciwnika. Na wiadomość o śmierci Jerzego Stella odpowiada — śmiercią własną. Wtedy Stanisław poznaje i woła, że się przeliczył. Co do nas, od początku nie ufaliśmy jego rachubom. Drahomir też musiał poznać, że „nie zawsze bywa świętym na ziemi, kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi“; ale nam tego nie wyznaje. Dramat kończy się bez niego.

Oprócz osobistości wyżej scharakteryzowanych do utworu p. Sienkiewicza wchodzi: Książę, Pani Czeska, Antoni, przeprowadzający wybór Józłowicza na posła, pani Miliszewska z synem i liche popychadło, wraz z trzema poprzednimi osobistościami na tło agitacji wyborczej rzucone, niejaki Podczaski vel Podczyński. Książę ma niezłe rysy w swym charakterze, a najlepszym jest gwałtowny gniew spowodowany kandydaturą poselską takiego parweniusza jak Józłowicz i prędkie z niego ochłonięcie wobec stanowczości wychowawcy i „ministra spraw wewnętrznych“. Sympatycznej Pani Czeskiej nie utrzymał aktor w pierwotnym charakterze, nie dał się dramatycznie, a choćby tylko logicznie, rozwinąć jej instynktowemu poczuciu niegodziwości Józłowicza, a rozwinętemu — cokolwiek na szali wypadków wazywać. Pomimo instynktu, pani Czeska w optyzmie swoim złożyła Stanisławowi wyznanie, którego on użył za najskuteczniejszą broń do walki. Ze wszystkich czterech osobistości wpłatających w sprawę wyborów — jedyną zasługującą na uwagę i bardzo dobrze, bez szarży, bez tendencji nieartystycznej odmalowaną, jest Antoni, człowiek przywiązany do swojej idei i do swoich „pędraków“, energiczny, samodzielny, umiający działać i walczyć. Pozostałe postacie są bez znaczenia.

Zdanie o najważniejszej stronie głównych charakterów dramatu zamknęliśmy już w powyższym rysie wydarzeń, które mu za podstawę służy. Tu znowu najlepszym, w zakresie danego pojęcia, jest Józłowicz; inne charaktery łamią się zaraz po pierwszym akcie i nie krążą już naokoło własnych swych osi. Autor nie chciał im nadać prawdziwie dramatycznej głębi, energii i żywotności, i szczególnie Jerzy jest od drugiego aktu małym kółkiem już tylko, pospolitym człowiekiem; a jakże znakomicie można było temat takiego charakteru rozwinąć w działaniu!

Budowa dramatu, ściśle zawsze z charakterami związana i od dramatyczności ich zależna, nie mogła nas zadowolić. Sytuacje od trzeciego aktu, od pierwszej rozmowy Stanisława z Jerzym, zaciekawiają, ale nie wzruszają, nie wstrząsają, z wyjątkiem tylko jednej: między Stellą a Drahomirem w akcie czwartym. Następna rozprawa między Drahomirem i Jerzym jest już zupełnie pospolitą. W dramacie są rzeczy albo niepotrzebne, albo niezręczne. Samo wprowadzenie jednoci miejsca uważamy za złe. Niepotrzebnie i niezręcznie Stanisław bierze Jerzego na bok, zaraz po przywitaniu się, dla wysłuchania w salonie Księcia, podczas ogólnej rozmowy dziejów jego życia. Niepotrzebnie na wezwanie Stanisława każdy zaraz się stawia; niepotrzebnie Miliszewski bładzi i zapytuje o pokoje księcia. Niezręcznie przychodzą jedni, kiedy inni na osobności rozmawiać potrzebują. Niezręcznie i nieprawdopodobnie wyzywa Miliszewski Jerzego na pojedynek, wtedy, gdy się dowiedział, że Stella jest jego

narzeczoną; właśnie co było powodem, powinno było wystąpić jako przeszkoda wstrzymująca.

Pomysł i sposób przeprowadzenia dramatu narzeka nam jedną uwagę. Nad nowellą pana Sienkiewicza, nad jego opowiadaniem z podróży zalega coś, co byśmy mgłą pesymizmu nazwać mogli: świat nie jest dla dobrych, świat nie jest dla szczęścia — prawem świata jest ból i nędza. W tym pesymizmie, w tym smutku nad światem, panuje niezaprzeczony urok. Czy w układzie wypadków nowego dramatu, w skarlówaceni charakterów dodatnich, w ustosunkowaniu ich do Józłowicza, w zdradzie, jakiej się dopuszcza względem najlepszego przyjaciela Drahomir, w małości i śmierci Jerzego, w skonie wreszcie Stelli nie tkwi również owo pesymistyczne zeznanie, że złemu łatwiej na świecie niż dobremu, że złe więcej zniszczy niż dobre zbudować zdoła? W każdym razie zarówno, z odczytania jak i z przedstawienia dramatu wynieśliśmy wrażenie niewiary w człowieka. Zdaje nam się, że niewiara ta wpłynęła i na ukształtowanie charakterów i na budowę sztuki.

Pięknym jest cały akt I z wyjątkiem drobnych usterek; nie ze względu na ducha i wykonanie nie pozostawia do życzenia stosunek Antoniego do Józłowicza; żywo biegnie cały akt IV; mądre myśli, płynące bez sztuczności, zdobią cały utwór: nie w architektonice dramatu jednak nie w jego sceniczności, nie w charakterach, nie w dramatyczności stosunków pomiędzy niemi zachodzących, nie w myślicielstwie autora na koniec szukać będziemy dodatnich stron dzieła, ale w stylu. Styl ten, naturalny a obrazowy, dosadny a nie szorstki, powabny a nie napuszony, przeważnie do charakterów zastosowany, niewpadający nigdy w gadatliwość, posługujący się jaknajmniejszą liczbą słów potrzebnych do wyrażenia myśli; styl jedyny, żywy, świetny, miejscami dowcipny lub ognisty — jest już niezbywalnym dobrem tego niepospolitego talentu i, jak w nowellach p. Sienkiewicza uderzyły nas głównie zalety stylistyczne, tak i tu w stylu również, w pięknie prowadzonym dialogu, dostrzegamy siłę przyciągającą, pod działaniem której nawet o błędach dzieła, jako kompozycji, jako harmonijnego całokształtu piękna i prawdy, zapomnieć można. *Hania*, z którą łączy się na *Na jedną kartę* przez wspólny temat miłości łamiącej prawa przyjaźni, *Hania*, w której życie pała, od dramatu wyższą jest przez potęgę twórczości i zdolność do uwydatniania nieskończonych odmian natury ludzkiej, przez głębokość pojęcia i gorącość w malowaniu dasz. Autor, który w nowelli umiał stanąć tak wysoko, nietylko przez styl, ale i przez sposób, w jaki kształtował człowieczeństwo w poranku i w wieczorze życia, nie spotka wielkich trudności i w dramacie i możemy mieć nadzieję, że dalsze jego dzieła dramatyczne będą coraz doskonalszemi i że wogóle będą.

Dla wiadomości czytelnika zaznaczamy, że dramat *Na jedną kartę*, napisany jeszcze kilka lat temu i w pierwotnej postaci przedstawiony we Lwowie, doznał później zupełnego przetworzenia i tak przetworzony dopiero wszedł na naszą scenę.

Ze wszystkich artystów powołanych do wystawienia sztuki najlepiej rolę swoją pojął i najlepiej wykonał p. Królikowski. Czytając dramat (bez V aktu jednak, w którym rola Antoniego ma moment najważniejszy) wyobrażenia nawet mieć nie mogliśmy o plastycznej sile, jaką na scenie nadać można idealnemu wytworowi autora. Był to żywy, prawdziwy Antoni: sumienny demagog ale i człowiek prawy. Całe ucharakteryzowanie się, pierwsze przemówione słowo bardzo już korzystnie uprzedziło nas o dalszym przebiegu roli. Z męską energią, z głębokością przekonań wypowiedział p. Królikowski surową naukę daną Stanisławowi w akcie V; nigdzie tu nie było deklamacyi, tyrady, każde słowo żywe, każda myśl z żywej tryskająca inteligencji. Nie przesadzimy mówiąc, że w rzędzie najlepszych, najoryginalniejszych charakterów Królikowskiego stanie Antoni z *Na jedną kartę*, pierwszy tego rodzaju wytwór znakomitego artysty.

Na pojęcie roli Józłowicza, jakie ujawnił w grze swej p. Tatarkiewicz, zgodzić się nie możemy: za wiele tam było uśmiechnionego wdzięku,

za mało stanowczości i siły. Nieustający prawie uśmiech przypominał jednym ironią Mefistofelesa, innym, słuszniej może, bezwiedny objaw zakłopotania, jakiego doznaje każdy artysta, który roli swej doskonale nie opanował. Ciągłe przewracanie i przymrużanie oczu uważamy również za błąd. Panna Derynżanka nie była księżniczką, ale też i salonu, w którym występowała, książęcym nazwać nie można; wdzięku, który jest głównym rysem Stelli, nie oddała w należytej sile; wybitnym momentem roli jej była scena miłosna z Drahomirem. Pan Leszczyński jako Jerzy był zanadto sztywnym i w głosie i w ruchach: Jerzy to natura bogata, piękna, a choć ją autor spaczył, tyle w niej jeszcze wdzięcznego dla plastyki scenicznej materiału zostało, że nie możemy powiedzieć, aby go artysta spożytkował tak, jak miał obowiązek. Stanowczo źle odegrana była pierwsza scena z Jerzym (akt III, 12). Pan Prażmowski (Drahomir) w pierwszym akcie był o wiele lepszym, to jest żwawszym; zasobniejszym w temperament, niż w następnych; do sceny ze Stellą w akcie IV zbrakło mu ognia, siły akcentu artystycznego. Pan Wolski w słabej roli Miliszewskiego synka umiał przypomnieć Poziomkowskiego, a nie być do niego podobnym; artysta takie dziwadła człowieczeństwa dobrze pochwytyje. Od p. Niewiarowskiej (p. Czeska) wymagamy trochę szybszego wysłowienia; od pani Ostrowskiej spodziewamy się że nas przestanie raczyć swoją litewszczyzną bez powodu, bez celu, a w roli mamy Miliszewskiej wręcz dziwaczną. To ciągle przeciąganie i śpiewanie paradyzowi już nawet przykrzyć się musi. Dziwna rzecz, że ani autor ani reżysser nie zdołał odwieść pani Ostrowskiej od urzeczywistnienia pomysłu nawskróś niefortunnego.

S. K.

DROBNE LISTKI.

Arigo Boito, twórca opery: „Mefisto“ urodzony z Polki, Radolińskiej, otrzymał po wystawieniu dzieła swego w Padwie wieniec srebrny wraz z adresem, na którego tytułowej karcie któryś z malarzy miejscowych wymalował gałęz wachlarzowej palmy z trzema liśćmi. Malowano to z natury, wedle palmy znajdującej się w Padewskim ogrodzie botanicznym, a z którą łączy się wspomnienie Goethego i legenda, jakoby twórca Fausta, zwiedzając Padwę w 1787 roku podziwiał ją i ułamał z niej sobie gałęz z trzema liśćmi. Wielbiciel Goethego, Robert Visiani, opatrzył drzewo napisem: „Jan Wolfgang Goethe, poeta i badacz natury uczynił o tej palmie wzmiankę i za przykład dowodzeń swych postawił w „Metamorphosen der Pflanzen.“ W roku 1874 Visiani rozmnożył palmę ową przez szczepek z niej uwzięty, aby w ten sposób pamiątka wielkiego pisarza zachowała się dla dalszych pokoleń.

Modrzejewska ma wkrótce wystąpić w przełożonej dla niej na język angielski przez Mr. Comynusa Car komedii: *Frou-Frou*. Jest to przecież nowiną o wiele ważniejszą, że pierwszy z obecnych dramaturgów angielskich autor tragedii: „Karol II.“ Will pisze sztukę, w której Modrzejewska mieć będzie rolę główną. Tytuł niewiadomy jeszcze; pisma angielskie piszą: „A romantic drama.“

Tajemnicza liczba Platona, której filozof ten w dziele swem: *O państwie* (Księga VIII) przypisał wielki wpływ na losy ziemskiego świata, a która pozostała niewiadomą przez dwa tysiące lat, choć niegdyś poszukiwano jej z namiętnym zapalem, miała zostać stanowczo odkrytą przez profesora Paryżkiego Uniwersytetu, Dupuis. Broszura, w której przedstawia Dupuis odkrycie swoje, oparte na rachunku, wykładającym ciemny text Platona, już jest pod prasą. W Ameryce, w Missouri, wychodzić zaczął przegląd miesięczny: *The Platonist*, mający na celu obznajamianie szerszej publiczności z moralnemi ideałami greckiego filozofa.

Trzeci tom dzieła Taine'a o rewolucyi francuskiej

nosi tytuł: *La conquête jacobine* i ma wyjść z druku w końcu marca.

Cud nowoczesnej nauki miał obecnie miejsce we Włoszech. Ksiądz Deuza, uczony astronom, robił doświadczenia z mikrotelefonem na drodze kolei żelaznej między Turynem a stacją Lauzo, odległą od Turynu mil dwadzieścia. Głos przesyłany przez mikrotelefon był wyraźny, czysty i tak silny, że słysząc go było w całym pokoju obu stacji. „Prowadzona w ten sposób rozmowa była tak ożywiona, jakgdyby rozmawiający znajdowali się obok siebie” pisze reporter angielskiego „Ateneum”, które pomieszczało wiadomość między nowościami z dziedziny umiejętności.

Wyprawa na morze Beringa i do północnych cieśnin Oceanu Lodowatego, odbyta ostatnią jesienią przez amerykańskiego kapitana Hooper, na statku: *Corwin*, z bogactwami wiedzy geograficznej ciekawymi spostrzeżeniami. Celem wyprawy było odszukanie amerykańskiego okrętu: „Jeannette” wyprawionego w podróż naukową do Bieguna Północnego oraz dwóch statków wielorybnych: „Vigilant”, i „Mount Wollaston” które nie powróciły z innymi z ostatniego połowu na wodach północnych. *Corwin* przybył najpierw do wysp: Naniwak i Analaska, następnie posunął się do Saint Michael, stacy Współki Futrzanej na Alasce, położonej u cieśniny: Norton Sound. Agenci Współki uwiadomili kapitana Hooper, że zeszłego roku myśliwcy handlujący futrami, przebywali owiele dalej, bo posunęli się aż do cieśniny Kotzebuego i Przylądka Hope, nie postrzegłszy nigdzie śladu poszukiwanych statków. Hooper dotarł następnie do wyspy Saint Lawrence, położonej u wniścia do cieśniny, wylądował tam 20 czerwca i załoga spotkała się ze strasznym widokiem. Całe wioski stały pustkami, a trupy ludzi wynędzniałych w najwyższym stopniu walały się nieopogrzebane. Na północno-wschodniej kończyźnie wyspy znaleziono trzystu krajowców jeszcze przy życiu ale w stanie blizkim śmierci z głodu. Burze, śniegi i lody, tamujące w sposób niezwykły połów wielorybów i cieląt morskich oraz polowanie na niedźwiedzie, nie dozwoliły nieszczęśliwym zgromadzić dostatecznych zapasów żywności na długą zimę, i tylko szczęśliwy przypadek przybycia amerykańskiego statku ocalił od śmierci garstkę niedobitków. Gdy uczyniono dla nich, co było można, Hooper zwrócił się ku wyspie Herald Island, lecz lody wzbronily do niej przystępu i po daremnych a kilkakrotnie powtórzonych usiłowaniach, zawrócono się i przybito do wyspy King Island, ztamtąd zaś powrócono do stacy S-go Michała na Alaskę, gdzie już tymczasem puściły lody, stopniały śniegi, wzgórza nadbrzeżne pokryły się bujną zielonością i kwieciami, a w powietrzu krążyły chmury komarów. Tu załoga spotkała się z indyjskimi myśliwcami, z których wielu mieszkało stale w głębi wyspy i tylko za nastaniem cieplej pory przybywali na wybrzeża, dla zamiany futer na europejskie towary. Byli to ludzie do zadziwienia silnej budowy, mocni i zdrowi, wielu miało na sobie blizny, świadczące o osobistych zapasach z niedźwiedziami. W Zatoce Escholtz rekognoskowano wielki lodowiec, obejrzano składy węgla, złożonych w pobliżu przylądka Beaufort i usiłowano raz jeszcze dostać się do wyspy Herald, ale zdołano jedynie posunąć się bliżej o trzy, czy cztery mile; kapitan Hooper mógł już teraz obserwować wyspę przez szkło i przekonał się stanowczo, że bezludna i zupełnie nie zamieszkała, składa się z groźnych skał, wznoszących się stromo ponad powierzchnią morza na 800 stóp wysokości. Okręt płynął odtąd wzdłuż brzegów amerykańskich i spotkał się ze znaczną gromadą wielorybów, po czym 11 Września skierował się raz ostatni ku północy, upłynął 25 mil brzegiem ziemi: Wrangel-Land. Trzy śpiczaste, śniegiem pokryte, 800 stóp wyniosłe szczyty ukazywały się w stronie południowej, inne góry rysowały

się na widnokręgu północnym. Zdaniem kapitana Hooper Wrangel-Land jest szeroką wyspą, rozciągającą się na pewną przestrzeń w kierunku północnym. Każdej wiosny liczne stada gęsi i innego wodnego ptactwa opuszczają przylądek Point Barrow w podróży swej na północ, aby w Sierpniu i Wrześniu powrócić z młodem. Kapitan Hooper obawiał się zamknięcia drogi przez lody i po tych częściowych obserwacjach, skierował okręt w drogę powrotną; d. 20 Września przybił do wyspy S-go Pawła.

Według jego przekonania dwa poszukiwane statki wielorybne przepadły już nazawsze gdzieś między wyspą a mielizną Herald. Statek wielorybny, który przybił do Petropawłowska 12 października zeszłego roku, przywiózł wiadomość opartą na opowieściach krajowców, że okręt Jeannette zginął wśród lodów, lecz kapitan Hooper jest innego zdania, sądzi, że statek ten, wybornie zbudowany i opatrzonej wedle potrzeb przeznaczenia swego, mający przytem doborową załogę a szczególnie sztab oficerów dzielnych i doświadczonych, niebawem da znać o sobie i powróci szczęśliwie z wyprawy dalej posuniętej, niż to udało się komukolwiek. Podziela to przekonanie doświadczony podróżnik sir Ryszard Collison i w liście pisanym świeżo do amerykańskiego dziennika: „New York Herald” dowodzi również, że statek Jeannette podążył szczęśliwie ku Biegunowi w kierunku Wrangel Land'u, albo drogą północno-wschodnią ku ujściu rzeki Mackenzie. W tym ostatnim razie możnaby zaczerpnąć wieści od rybołowców Kompanii Hudson-Bay.

Telegram Reutera doniósł świeżo z Waszyngtonu, że senat Stanów Zjednoczonych uchwalił pod dniem 4 lutego wydatek 175,000 dolarów na cel, którego Hooper doświadczać nie zdołał, to jest na odszukanie okrętu Jeannette, o którym przypuszczać należy że znajduje się kędyś uwięziony wśród lodów podbiegunowych. Okręt ten jest własnością redaktora gazety „New York Herald”, Gordona Bennett, i został przez niego w celu naukowych poszukiwań wyprawiony w podróż podbiegunową.

Popiersie króla Stanisława Augusta kolosalnych rozmiarów wykonane w białym marmurze mistrzowskim prawdziwie dłem włoskiego rzeźbiarza Defernex zostało ofiarowane Wiedeńskiemu *Künstlerhaus* przez hrabiego Lessera, brata barona Lessera niegdyś konsula Saskiego i Bawarskiego w Polsce. Popiersie to zdobi obecnie przedsiónek *Künstlerhausu*, a wywdzieczając się za dar tak wspaniały portret hrabiego umieszczono w sali założycieli stowarzyszenia, a jego samego przyjęto na honorowego członka.

U Liszta. Liszt opuścił Weimar, aby stale zamieszkać w Peszcie i kierować założoną tam dawniej już przez siebie Akademią Muzyczną. Przy coraz spójniejszej organizacji patriotycznej węgierskiego społeczeństwa ściągają się w ten sposób do gniazda rozproszone po obczyźnie wędrownie ptaki tego narodu, do których liczył się dotąd wielki mistrz tonów. Pomieszkawanie jego w samym gmachu Akademii urządził na rozkaz rządu węgierskiego budowniczy, Akosz Fellner, z którym współpracowały — kobiety! Rys to jest charakterystyczny ta cześć Węgierek dla sztuki ojczyznej, oddana jej przedstawicielowi, i pomieszkawanie Liszta, szczególnie jego salon, stał się też z tego względu rzeczą nie tylko dla mieszkańców Pesztu ciekawą. Przejście, tworzące jakgdyby łuk tryumfalny z liścia palm i laurów, w marmurze wykutych, wiedzie z pięknego, obszernego przedsiönka przez odpowiedni przedpokój, na lewo do wielkiego salonu, na prawo do sypialni, następnie gabinetu i komnaty jadalnej. Salon łączy się ze wspaniałą salą koncertową Akademii, z drugiej zaś strony jest do niego wejście z sali jadalnej. Gabinet odznacza się rzadką prostotą i stylem staroświeckim, starowęgierskim.

Biuurko do pisania i wielka szafa na książki i nuty, umieszczona między dwoma oknami, są w tym stylu z drzewa czarnego; wspaniały szeslong wybity pasowym pluszem z pięknym pasem haftu, dar baronowej Vörös, łączy się poważnie z całością. Równie prostą i poważną jest obszerna sala jadalna, gdzie całe umeblowanie jest z rzeźbionego orzecha na mat. Dwie duże szafy oszklone, kształtem naśladowujące starodawne skrzynie, zawierają w sobie wszystkie pamiątkowe dary, otrzymane przez Lisztą w dowód uznania jego talentu. Lampa w formie staroświeckiego węgierskiego dzbana, ofiarowana przez dwie siostry Walh, zwraca w tym pokoju uwagę, jako przedmiot wyższej wartości artystycznej, przez malowania zdobiące postument. Ztąd przez wielkie podwoje przechodzi się do salonu, który olśniewa przepychem i wykwintną świetnością.

Sufit przypomina stylem Loggie Watykańskie; trzy wielkie podwojowe okna, od posadzki pod sufitem, z wazkami jedynie przedziałami ściany między sobą, mają prócz wewnętrznych białych firanek jedną, gładką i w całości nad wszystkimi trzema rozciągniętą draperyę z przerabianego złotem purpurowego brokatu, po której wiją się ciemnozielone gałęzie lauru, wykonane wypukłym matowym haftem. Dzieło to żupanowej Földary, pysznego efektu, odpowiadającego harmonijnie ścianom, które są ciemnozielone, z lamperyami dębowymi, takimi, jak drzwi i oprawy ogromnych okien. Potrzeba była fal światła, jakie przez nie płyną, aby surowa barwa ścian, w połączeniu ze sztukateriami dębowymi, nie stawiała się pępą. Na ścianach żadnych już ozdób więcej, żadnego obrazu: wymagał tego tak wzgląd na akustykę, jak styl wspaniały całego salonu.

Znajdują się w nim dwa fortepiany i fisharmonium. Przed tem ostatniem panna Horwath postawiła taburet, haftowany gustem XVIII stulecia, na bładoniebieskim pluszu. Dwa dębowe, pięknie rzeźbione zyde, wybite ciemnopurpurowym pluszem z wazkim szlaczkiem haftu wokoło, dostawia do dwóch fortepianów baronowa Eötvös.

Świetnym meblem, pochodzącym z daru hrabiny Liwii Zichy i córki jej, hrabianki Melenii, jest ottomana wybita takim, jak draperya u okien brohatem, z ozdobami purpurowego pluszu. Tylnie oparcie, złożone z trzech pysznych poduszek bogato haftowane w rogach złotem i kolorami według wzorów starowęgierskich z Peszteńskiego Muzeum branych.

Kilkanaście foteli w stylu francuzkim Henryka II: z niskim siedzeniem a wysokim oparciem tylnym, co dwa to inne; wspaniały fotel gustu włoskiego z epoki Benvenuto Cellini, odpowiadający mu stół z pysznym gobelinowem pokryciem, tak jak stół przed ottomaną, ma pokrycie równej wspaniałości z haftem starowęgierskim — wszystko to dary najpierwszych pań węgierskich. Do tego na środku salonu przepyszna okrągła sofa z siedzeniem na troje, z bładoniebieskiego pluszu, a jaki ekran do kominka, jaka ławeczka, aby tam przy ogniu cicho posiedzieć! Do szczególności należy stolik do kart, wykonany przez księżnę Wrede, cały z pasowego pluszu z przepyszniemi frendzlami i chwastami, jako ozdoby. Perski dywan w barwie niebieskiej z czerwoną, dar już mężki, ze Wschodu przez Fryderyka Harkeny przywieziony, rozesłany jest pod tym fortepianem, na którym Liszt zwykł grywać i który ma przepiękną etażerkę do nut z haftem artystycznie pięknym, bo też wykonywała go artystka wysokiego talentu, p. Menter-Popper, o której dowiadujemy się z tego, że jest Węgierką, gdyż w salonie Liszta nie ma nic, co by pochodziło od obcych.

Przypomina to hołdy i dary składane u nas Kraszewskiemu i dowodzi: jak drogi uczucia potrzebującego się wylać, są wszędzie jedne.

TREŚĆ. Wspomnienie Tatrów, (poezya), przez Kazimierza Glińskiego. — Irlandya, Rys dziejów. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd artystyczny, przez Bronisława Zawadzkiego. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Przegląd teatralny, przez S. K. — Drobne listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbrandta Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 17 Февраля 1881 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— Zrobię twojemu panu process — odparł po-
dróżny teraz surowo i bynajmniej nie żartując.
Posesor jego folwarku był widocznie bardzo nie-
miłą dla niego figurą i gniewało go, rozdrażniało
samo nań wspomnienie. — O to się nie bój, abym
zapomniał — dodał też nie zmieniając głosu i wy-
razu twarzy: — Wysadzę go ztąd, tego próżniaka
i zuchwałego pyszałka. W interesach nie może
być żartów, a dla takich ludzi nie mam żadnej li-
tości, nie wiesz jeszcze kogo masz przed sobą?

— Wiem — odparła nagle dziewczyna głośno
i ostro. — Bogacza... takiego bogacza, jak w bi-
blii jest napisane...

— Że nie wejdzie do królestwa niebieskiego,
ponieważ jest bogaczem... nieboraczysko! Tak,
masz słusność, jestem takim właśnie: tyranem
ludzkości, pijawką, człowiekiem kamiennego ser-
ca, a raczej wcale bez serca, jak w ogóle wszyscy
na złoście leżący, a szczególnie handlarze, groszo-
robry... Ale nie leć tak...

Rzeczywiście, nie można już było powiedzieć, że
szła teraz, ale biegła, leciała, jak na skrzydłach
a pozostał obecnie za nią o wiele w tyle i patrzył
się już tylko, przypatrywał uważnie. Mimo sta-
rej sukni, przemienionej na wiejski kabat, mimo
spłowiałej chustki i faldzistego fartucha, który ją
szkaradnie szpecił, była to niemniej szlachetna,
wysmukła jodła Turyngskich lasów, piękne zja-
wisko pełne życia i nieświadomego siebie wdzięku
w każdym ruchu kształtnych, młodych człon-
ków. Szkoda tej kibici, tego delikatnego lica,
jak już mógł po ujrzanych ustach wnosić, szkoda
było tego wszystkiego co upał słoneczny, ciężka
praca i ubóstwo musiało koniecznie zniszczyć,
zmienić, zszpeci. W krótkim czasie z powabnej
dziewczyny będzie zestarzała, zczerniała, jak hak
wychudła baba...

A może i teraz zniknął by czar, gdyby chustka
z głowy opadła? Usta ładne się zdawały, świeże,
bo młoda, ale kto wie czyby cała twarz odpowie-
działa temu, co tak szlachetnem wydaje się w ob-
słonach tej białej namitki? Może rysy są pospo-
lite? Płeć zdawała się być delikatną, lecz może
jest ruda, i w takim razie niezawodnie piego-
wata?

— Ale nie ruda, więc i piegówata nie była, bo
oto w szybkim ruchu wysunął się z pod chustki,
warkocz ciemnych, połyskliwych włosów.

Dziewczyna nie daleko odbiegła, gdy nagle
na bocznej, z lasu wychodzącej ścieżce ukazała
się mała, przysadkowata, dobrze korpulentna jej-
mość w brązowym okrągłym kapeluszu, i w bron-
zowym luźnym kaftanie. Szła prosto na spieszą-
cą się dziewczynę i zatrzymała ją za fartuch.

— Słuchaj no asanna, czy wy tam na prawdę
macie taką moc kartofli, że o te czasy — o te cza-
sy: w końcu czerwca, podrywacie krze, aby je
rozdawać młodym urwisom zebrzącym?

Nie wyglądało to na łajanie, bo mała jejmość
mówiła powoli i spokojnie, ale raczej na kaganie.
Głos był jak u każdodzieli namaszczony i każde
słowo wyraźnie, z naciskiem wymówione. Znać
było że mała imość lubi w koło siebie wszystko
w ryzie i porządku trzymać. Gdy skończyła

przemowę, patrzyła na dziewczynę jak gdyby
z politowaniem pogardliwym i dodała. — Boże
kochany, człowiek sam co dzień na czworakach
po wszystkich kątach piwnicy się włóczy, aby wy-
brać na nasz stół parę dobrych kartofli na sałatę,
a tam — pokazała ręką w stronę lasu, z którego
wyszła — piecze się ich kupa w popiele. Jak to
nie ma człowieka gniewać? My płacimy drogo
za każdy kawałeczek najlichszego gruntu i nie
zalegamy nigdy z ratą dzierżawną na minutę, je-
dną, a twój pan trzyma sobie najlepszą ziemię dar-
mo, siedzi w najpiękniejszym miejscu i kukulki
o to nie zapyta, czy za to choć grosz ma oddać
komu?

— Daj mi pani isć... zawołała dziewczyna
w półrozkazującym, w pół trwożnym głosem i usi-
łowała się wyrwać trzymającej ją, która przecież
nie myślała puścić fartucha.

— Pani... powtórzyła gniewnie — pani... Cóż
to ja jestem pierwsza lepsza i nie mogłaś to mi
grzecznie powiedzieć: pani komissarzowa, a cho-
by już kwoli sąsiedzkiej znajomości: pani Griebel?
Ale tak sobie poufale, jak kumie swojej: pani...
Widać żeś ty, dziewczyno, nie nie lepsza od twego
państwa. Rzeczy, które cię nie nie kosztują, u-
miesz rozdawać, ale ludzi należyście uszanować
to nie potrafisz i pstro ci w głowie, którą do góry
zadzierasz i w zasłony owijasz. Widział cię kto
inaczej w polu, na łące? tu pokazała ręką na bia-
łą chustkę. — Słuchaj no, kto służyć musi, nie
pyta się już, czy od słońca parę piegów na nos
dostanie i ludzie się tylko z ciebie śmieją i pytają,
czy ci i to nie dość pięknem się zdaje, kosz na
plecy z trawą wiać, jak to wszystkie dziewczki
czynią? Tu u nas nie moda tak na głowie pęki
nosić... nie moda... Ale co tam nasz w siatce?
Daj no zobaczyć... a pstraga... Już to na fol-
warku ludzie wiedzą co delikatnie smakuje.

— Ryba jest dla chorej...

— Tak, dla chorej się to na stół poda, ale tam
ten zdrowy żbik zje... Stójże dziewczyno...
Gdyby ludzie o tem nie wiedzieli, to by się nie-
raz znalazła u mnie czy kuropatewka, czy inny
jakiś kasek dobry, którym bym tam do was przy-
słała, bo przecież człowiek nie jest bez serca i ma
też litość...

— Dziękujemy za nią... zabrzmiało krótko i su-
cho z pod białej chustki.

— Dziękujemy... powtórzyła mała jejmość —
dziękujemy... Któż to z tobą dziękuje? Słuchaj
dziewczyno, twój pan źle sobie poczynił, wielki
majątek roztrwonil i dziś ledwo, że własną koszu-
lę ma na grzbiecie, ale to zawsze są państwo, któ-
rym służysz, państwo i nie twój równi, powin-
naś też szacunek dla nich znać... My!...

Tymczasem ten, który był w tyle pozostał, już
od dawna uciekającą dogonił i stał teraz tuż bli-
sko, ale tak z boku, że go nikt nie widział.
Ledwo mógł śmiech powstrzymać, gdy pani ko-
missarzowa przy ostatnim: my... dygnęła przed
dziewczyną szyderczo, a ta nieboga nie była
w stanie jej się wyrwać, bo ją za fartuch całą ręką
trzymała. Była jak ptak złapany i zdjęła go też
chęć uwolnić ptaszyne biedną.

— Nie trzeba się tak zapalać szanowna damo —
rzekł nagle, a p: komissarzowa na ten głos, który
się do niej niespodzianie ozwał, mało nie krzyknęła
ze strachu, ale nie straciła kontenansu. Obejrza-
ła się na mówiącego, obracając powoli głowę na
tłustej szyi i przyjrzała się obcemu małemu, bla-
do-niebieskiemu oczyma od stóp do głowy.

— Przepraszam — rzekła — ja jestem uczciwa
kobieta, a nie żadna szanowna dama dla kogoś, co
mnie na drodze napada, podkradłszy się z tyłu,
jak kuna do gołębnika.

Mimo to wszystko zostaniesz pani dla mnie
szanowną damą, gdy mi z drogi filizankę dobrej
kawy z łaski swojej dasz i w Hirschwinkel przyj-
miesz. Spodziewam się jeszcze omletu na
kolacya.

— Ach! Boże kochany... pan dziedzic chyba!
Tak! pan dziedzic, wielmożny pan Markus, ach...
co za żart...

Zaczęła się śmiać z żartu tego, wymawiając to
jednak dla czego jej pan dziedzic zaraz nie po-
wiedział, że: dziedzic. — A, przecież pan do nas
zajrzałeś — mówiła — z pruskich piasków zje-
chałeś pan — nakoniec obejrzał ten kawałek błogo-
sławionej od Pana Boga ziemi, który ci w ręce
sam spadł. No, cóż? Cóż pan mówisz, na to, co
tu jest? Czy tam u siebie widziałeś pan choć
raz w życiu taki las, takie łąki, takie góry i pa-
górki, jak tu? A czas już był, abys pan to zoba-
czył i zagospodarował wszystko ostatecznie. Tam
we dworze, myszy nad głowami piszcza, a mole
musiały już wszystko pogryść, co tylko po niebo-
szcze pani Nadleśniczowej zostało...

Tymczasem uwolniona dziewczyna szybko się
oddalała, a pan dziedzic patrzył za nią po przez
głowę pani komissarzowej Griebel. W stronie,
w którą szła, ukazał mu się wzmiankowany tyle-
kroć folwark w jasnym blasku słonecznym.

Z prawej strony rozciągały się zielone prze-
strzenie łąk, z drugiej gęsty las. Buki wznosiły
się na lewo. — Czy w tej stronie leży Hirschwinkel?
zapytał młody panicz, pokazując grupę pojedyn-
czych drzew, po za którymi zniknęła dziewczyna.
Jeszcze raz przy rozstaju dróg kształtna jej po-
stać odbiła się na tle otaczającego ją krajobrazu po-
dobniejsza do wysmukłej córki Fellaha z nad
brzegów Nilu, niżeli do prostej wiejskiej dzie-
wczyny z Turyngskiego lasu.

— Ach Boże kochany, jak też zabawnie pan
się pytasz? zawołała szanowna pani Griebel. —
Toż jesteśmy już od dawna w Hirschwinkel i wię-
cej niż od półgodziny jesteś pan w dziedzictwie
swojem, stąpasz po własnym swym gruncie. Spojrz
pan tam oto między drzewa, widać zabudowania
dworskie. Miałeś pan ochotę na kawę... spodzie-
wam się, że takiej, jaką zgotuję, niepiłeś
pan jak żyjesz! Idź pan tylko prosto, tamtędy,
suchą drogą... prosto wciąż, z pewnością nie za-
błądzisz, ja tymczasem dam nurka tędy, przez
krzaki i tyłem przez okólnik dostanę się prosto
do kuchni. Muszę najpierw zobaczyć, czy dzie-
wczyna ma w kociołku wodę gorącą?

Nie trzeba było wielkiego nurka dawać, aby się
przez młodociane zarosła na tył dworu Hirsch-
winkel dostać i przysadkowata imość zniknęła
prędko z przed oczu nowego dziedzica, który się
teraz spokojniej i z zajęciem rozglądał w koło sie-
bie. Sam dwór był starą, prostą, bez żadnych
ozdób budową, z wysokim dachem, którego szczy-
ty były od wiatru łupkiem obite. — Białe wybie-
lony, wyglądałby był z frontu jak koszary, gdyby
nie wystawa z gankiem tak mocno obrosła bluszczem
leśnym, od samego dołu, aż pod dach, że okna
w zielonym zagłębieniu, jak strzelnice jakieś wy-
glądały. Na dole dla bezpieczeństwa, miał zielo-
ne, mocno śrubujące się okiennice, co się tłomaczy-
ło odosobnieniem położeniem, lecz u okien górne-
go piętra jedynie białe, gładkie story, popazu-
szczane do samego dołu, widniały po za zakurzo-
nemi szybami. Całe obejście domu otaczał mur,
z piękną, podwójną wchodową bramą. Jabłonie
i wiśnie przechylały się przez niego, zwieszają-
jąc wdzięcznie gałęzie; w tyle za domem widać
było wierchołki lip i kasztanów; w lewym ro-
gu muru mały, zielenią otoczony pawilon ogro-
dowy wyglądał jak okrągłe gniazdko ptasie.

Cała ta sadyba nieboszczki Nadleśniczowej
sprawiała bardzo miłe, pociągające wrażenie.
Przed oknami domu rozciągała się zielona, tak
bujna lecz razem gładka murawa, jak gdyby
strzyżoną była. W dali, jak podgórze spuszczało się
łagodnym stokiem w dolinę, widniały obszerne
łany falującego zboża, pola rzepaku, ciemnozielo-
ne niwy buraków, środkiem których wily się to
tu, to tam błękitne wstęgi bujnie rosnącego lnu,
którego w tej okolicy sieje się niezmiernie wiele.

Służąca possesora Arkusz 2.

Para indyków spacerowała cicho przed bramą której podwoje zapewne za rozkazem p. Griebel pospiesznie na jego przyjęcie otworzono. On zaś stanął teraz zamysłony przed wejściem do tego cichego kącika, który — wedle wyrażenia „szanownej damy” — Pan Bóg mu jakgdyby z nieba spuścił. Niebiański też prawie spokój panował tu; świeżość i cisza leśna napełniała powietrze. Ogluszające bicie młotów, skrzypienie kół jego fabryki, wir i ścisk ulic Berlina jakże daleko, jak ogromnie daleko być się zdawały! Był tu już inny świat — niewątpliwie inny.

Z komina domu podniosła się teraz potężna kolumna dymu i zarysowała wybitnie na jasnym błękitnie nieba. Było to niewątpliwie dzieło p. Komissarzowej, drepczącej pewno w tej chwili koło komina i imbryka od kawy: ogień buchał już zapewne i w piecu od pieczenia ciasta, płomień ofiarny, wzniecony na cześć i chwałę przybywającego miejsce tych pana. — „Słodki wczasy u domowego ogniska...” powtórzył on za poetą z uśmiechem ironicznym na ustach, lecz rzeczywiście wywarło to na niego pewne przyjemne wrażenie. — Upajająca cisza! myślał i przez otwarte okno dolnych pokoi zapuścił wzrok w głąb domu, lecz nagle drgnął. — O nieba! zawołał z komiecznym przestachem. — Więc i tu nawet... i tu mnie to ściga i chce zatruć mi życie...

Wykrzyk ten był spowodowany niespodziewanie usłyszaną muzyką. Ktoś tam na dole uderzył hucznie w klawisze fortepianu.

Wyrzucił się z marzeń. Z miną desperata przestąpił podwoje bramy wchodowej, lecz w tej chwili wybuchnęło gwałtowne szczekanie psów.

— Sułtan! cicho... cicho mi zaraz... ozwał się do chóru głos p. komissarzowej z ganku. — Zaraz ja tam będę z kijem...

Sułtan schował się natychmiast do budy, a nadbiegająca p. komissarzowa wyciągnęła do przybywającego obie tłuste rączki. — Daj tu Boże panu szczęście... zawołała.

— To jest Piotr Griebel, w jednej osobie rządcą i dzierżawcą pański, a mój mąż — dodała, przedstawiając nadchodzącego za nią mężczyznę średnich lat wieku. — A tam oto... wskazała rękę w stronę muzyki — córka moja Ludwisia gra... gra na uczenie pańskiego przybycia marsz z Proroka. Wszak nieźle? Wszak pięknie?... Jest najlepszą uczennicą na pensyi i będzie kiedyś guwernantką?

„Pan dziedzic” bo tak pod komendą szanownej damy wszyscy tu nazywali przybyłego, nie dał się uprosić, aby zostać na dole i pić kawę w tym bawialnym pokoju, gdzie dotąd przysła guwernantka witała go potężnym bębnieniem w klawisze. Wymówił się strudzeniem, potrzebą swobodnego odpoczynku i mimo protestacyi, które imci pani Griebel zanosila w przestachu przed myszami, molami i pajakami, postanowił co prędzej znaleźć się między własnymi czterema ścianami i poszedł zaraz na górę. Z jego to rozkazu pieczęć sądowa pozostała nienaruszoną aż do jego przybycia na pokojach, zamieszkanych osobicie przez nieboszczkę, i teraz też oderwał ją sam ze drzwi, które Piotr Griebel otworzył z klucza. Takim samem: tak samo miłem i przyjemnem, jak fizioognia domu wśród krajobrazu, było wnętrze pokoi, których rząd ukazał się teraz oczom wchodzących.

Griebelowa najpierw podniosła stopy. Tryumfowała, bo szkło szyb stało się matowem od kurzu, którego gruba warstwa, leżała również na sprzętach. Nakreśliła też palcem na stole kilka brzydko nakreślonych liter, ale śladu pajaków i myszy nie mogła nigdzie pokazać. Podłoga była czystutka i śnieżno biała, bez najmniejszej plamki, powietrze też nie okazało się zbyt dusznem, bo wentylatory w górze pod sufitem dawały przystęp świeżym przeciągom wiatru i tylko czuć było silny aromat nostrzyku i innych ziół balsamicznych. — Otworzenie okna i parę pociągnięć szczotki od kurzu przyprowadzi tu wszystko do należytego stanu — rzekł wesoło pan dziedzic i odemknął sam środkowe okno oplecionej bluszczem fasady

— A cóż Jettchen? gdzie tu są te myszy i szeszury, które ci przez całą zimę sypiać nie dawały? zapytał z cicha żony p. Piotr Griebel, ucieiwy jak się zdawało i jowialnej natury człowiek. — P. Nadleśniczowa była mimo wieku porządną i dbała o wszystko panią — dodał głośno. — Nie zapuściła nigdy nieporządku w koło siebie, więc też potem nie mogło się tu stworzyć z niczego to brzydaństwo różne, którego się bała moja imość.

— Poczekał, poczekał jeszcze trochę z twoją mądrością Piotrze, aż zajrzemy do pokoju z książkami — odparła p. komissarzowa gniewnie. Za temi półkami pod same niebo, to jest pod sam sufit, za rządami książek zobaczysz ten cud, jak się z niczego coś stwarza. Ale patrz no pan, co tu jest do czytania w tym pokoju?... A te wszystkie księgi, to wszystkie foliały, p. Nadleśniczowa miała w głowie. Była i doktorem i aptekarzem w jednej osobie i pomagała ludziom sto razy więcej, sto razy lepiej leczyła niż ten cyrulicznyna w Tillroda, który się każe ludziom p. konsyliarzem nazywać. Ale miała i ona w głowie świeczka swego. Była farmazonką, jak to dziś moda, chciała wiedzieć więcej niż starzy ludzie i nietylko już nie dała ludziom ani pomysłu o tych rzeczach, które jednak nie jednemu pomogły i dały mu wiedzieć, co przed największymi mędrkami jest zakryte, ale nie wierzyła nawet w dyabła, o którym przecież jest i w Ewangelii i niejedną ksiadź ludziom powiada, że go się bać należy, aby naszej duszy nie zgubił. Ale rzucił na nią ogień, gdy kto wspominał tylko o mocach jego różnych. Jest ona już teraz w niebie, p. Nadleśniczowa, ani wątpię: jest w niebie, ale nie tacy, jak ona i nie tacy, jak wszyscy panowie nauczyciele z Tillroda nie mogą Panu Bogu przepisywać, co ma na ludzi za ich grzechy dopuścić, kiedy zechce. O... w tem, mnie nikt nie przekona i zawsze sobie mówić też będę że p. Nadleśniczowa...

— P. Nadleśniczowa była rozumna co się zowie kobieta — przerwał jej mąż.

— Na gospodarstwie, na mezkim gospodarstwie tak się znała, że dziw był. Te dwa lata, przez które tu u niej zarządzałem, więcej mi rozumu dały, niż go sobie człowiek od kolebki zebrał. Nie dzisiejszy jestem, pełniłem obowiązki u panów, lecz u niej dopiero nauczyłem się prawdziwie gospodarować. Mądra była z niej pani...

— Patrz pan z łaski swojej tam... dodał, wyciągając rękę ku oknu i wskazując pola, które bujnym plonem pokryte, tworzyły przez to bogactwo swoje miły obraz dla oka — wszystko to, można powiedzieć, jej dzieło. Nieboszczyk p. Nadleśniczy był człowiek rozumny, ale na tem mało się znał i nie on, ale ona zagospodarowała tak Hirschwinkel. Te parę mórg, tam za wierzbanami, nie celują uprawą, ale to już należy do folwarku, który od jakiegoś czasu jest w innych rękach. Adwokat z Tillroda pisał o tem panu, jak to jest z tym folwarkiem.

— Tak, pisał. Od czterech już lat folwark jest w dzierżawie; przecież w rachunkach nieboszczki, która książki ze wzorową dokładnością prowadziła, każdy najmniejszy dochód i rozchód zapisywała, niema ani wzmianki o odebranych czynszu dzierżawnym.

— Nieboszczka pani przymykała oczy na niewypłatność posesora folwarku, bo z jego żoną od młodych lat w wielkiej przyjaźni żyła — wtrąciła mała imość, której dokuczyło młeczenie. Ten posesor, niejaki Franz z nazwiska, tak się ludziom zadłużył, że mu w końcu wierzyciele, których było jak piasku w morzu, zabrali wszystko, zlicytowali co dom miał, do ostatniego stołka i wte dy to p. Nadleśniczowa folwark z litości im puściła, ale pewno nie darmo, bo była za nadto porządna i rozumna, aby trutniów wypasać. Ale kochany przyjaciel, ani grosza czynszu nigdy jej nie oddał.

— A patrz no Piotrze, co ja tu mam? — przerwała sobie na raz, wyjmując z kieszeni kaftana

mały pieczony kartofelek, który rozłamała i podniosła niemal do oczu męża. — Cóż, czy nie pachnie? zapytała — zółtko od jaja piękniejszego koloru też nie ma, czy wiesz przecie z kąd ja to mam? Tam w lesie na Grafenholz, gdzie chłopaki z Tillroda poziomki zbierają, znalazłam ten dar Boski w gorącym jeszcze popiele zostawiony.

— I cóż z tego Jettchen? — Co z tego? zawołała kobieta, unosząc się. Już ty zawsze jednaki i nie pomyślisz nigdy nad tem, co powiesz. — Czy to takim miejskim łobuzom należy się zjadać nowalijki i przysmaczki najlepsze, jakich sobie żałują uczeni ludzie? Ale tu chodzi przedewszystkiem o to, z kąd się te młode kartofle w owym popiele wzięły i z kąd pochodzą? Pewno nie z naszego ogrodu, pewnom nie ja je wydała, ale ta szalona dziewczka od posesora...

— Panie kochany — dodała, zwracając się nagle do młodego dziedzica — nie myśl pan, abym chciała tych ludzi na żebrany chleb wyprawiać i co do mnie, mogli by do końca świata tu siedzieć, grosza nikomu nie płacąc, ale swoją drogą co jest prawda, to prawda... Mają najlepszy grunt pod kartofle z całego Hirschwinkel.

— Jettchen, miej sumienie! przerwał mąż. — Co oni mają, to mają, my mimo to skarżyć się nie możemy. Nie idzie nam źle i nie chcę ani sam w ten interes się mieszać, ani mi to jest miło, że pana podburzasz przeciw owym ludziom. On sam, posesor, jak go tu nazywają, już jest stary, żona chora, od roku w łóżku leży i gdyby nie ta ich służąca, która gospodarstwo w rękę wzięła...

— Ta ich służąca... to najparadniejsze! wykrzyknęła p. komissarzowa. — Ale pan już ją zna, już sam widział jak to wygląda w pańskiej jakiejś sukni, na wiejski kabat przeinaczonej. Teraz to przynajmniej trawę dla krowy nośis umie, choć ją tak na głowie trzyma, jakgdyby razem z tą wiazką na świat się narodziła, ale dawniej... Śmiech brał patrzeć.

— Widać że jest nie tutejsza — rzekł młody dziedzic — p. Henryk Markus, jak by go było trzeba przedstawić, gdyby wśród pięknych pokoi, do których wszedł, nie mieszkał cień jedynie.

— O, tak: nie tutejsza — odparła prędko Griebelowa. — Z daleka to musi być, jak wiedzieć można po mowie. Bo to tak się stało. Zaraz jakoś po śmierci naszej pani Nadleśniczowej i tamta, posesorka, położyła się w łóżko, a dziewczka, która im oprzątała gospodarstwo, uciekła, nie widząc nigdy złamanego grosza zasług i tu dopiero stała się teraz bieda, bo drugiej takiej na całą okolicę znaleźć nie było można, która by im służyć darmo chciała. Mówię to panu, bom ja sama nieraz tam zajrzeć musiała i nie nad jednym radzić, choć dawniej, to mnie ci jaśnie państwo wcale nie znali, aż jednego dnia zjeżdża synowica jego samego i przywozi ze sobą sługę z miasta, gdzie guwernantką była. Nieboszczka pani raz mi mówiła o tej pannie synowicy, że guwernantką jest kiedyś w wielkim mieście i ztąd to wiem, co za jedna. Na sługę, którą sprowadziła, spadło całe gospodarstwo, cały dom, bo p. guwernantka pewno jak żyje do kuchni, ani spiżarni nie zajrzała. Panna guwernantka nie od tego...

— Brr... mruknął młody jegomość, wstrząsając się.

— Co to panu? — zawołała Griebelowa z podziwieniem, otwierając szeroko małe oczki z białemi rzęsami.

— Co mi jest? Ach kochana pani Griebel, jest to antypatya, którą czuję do wszystkich guwernantek — odpowiedział zapytany wesoło. — Febrą mnie trzęsie na wspomnienie samo...

— Guwernantki! Ach! dla Boga. — Wszakże to i moja Ludwisia guwernantką będzie — jęknęła załóżnie kobieta. (Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuskiego J. M.

(Dalszy ciąg)

Francuz spoglądał na starca z zadziwieniem.

— Wyobraź pan sobie — objaśnił gościa lord Edward, że kochany nasz przyjaciel, Slovius wcale nie ma ochoty opuścić więzienia.

— I dla czegoż miał bym się spieszyć? — zawołał doktor. — Niech żyją więźnia! Tylko tu można na prawdę pracować.

A gdy wicehrabia zlekka się uśmiechnął, on zawołał:

— Nunc est demonstrandum szanowny panie. — Lecz proszę cię, wicehrabio, zastanów się tylko. Tam, na wolności, jak to niewłaściwie nazywają, musiałem odwiedzać chorych, wykonywać operacje, prezydować na posiedzeniach akademii i spełniać tysiączne przykre obowiązki, nie licząc korespondencji. Tu jesteśmy najzupełniej odosobnieni, a gdy jaki uporeczywy natręt zamierza niepokoić mnie — potrafią go powstrzymać od tego. Cerber z Newgate zajmuje się tem gorliwie. Nadaremne wszelkie próby i błagania. Nigdy drzwi moje nie były tak wybornie strzeżone. Po pierwszy raz w życiu od lat przeszło czterdziestu, czas mój, więc moje życie, należy wyłącznie do mnie. Nie mam prawdziwie żadnej a żadnej przeszkody. Jest to najzupełniejsza niezawisłość myśli. Wolny, byłem niewolnikiem; więzien, jestem wolnym.

— Oto — odezwał się Gaillefontaine — paradoks przekonująco udowodniony.

— Paradoks — odparł z żywością Slovius Jumble. — Lecz czyż pan nie widzisz, że moja biblioteka i moja pracownia są tu wraz ze mną w więzieniu? O, dzięki wam, panowie Angliści! Wam jedynie będę winien sławę, wy tylko sprawiliście, że ukończę wreszcie moje dzieło!

I w wesoło dumnej postawie, uczony oparł rękę na licznych arkuszach rękopismu, nad którym przed chwilą jeszcze pracował.

— Dzieło — wyjaśnił Edward — o truciznach i narkotykach.

— Lecz, które sięga nierównie dalej — zawołał doktor żywo. — Zechejcie spojrzeć na tytuł, panie wicehrabio i pozwól, abym ci go wytłumaczył.

Pokazał mu pierwszą stronicę, na której kolejno czarnymi i czerwonymi głoskami wypisane było:

„O przejściu z życia do śmierci i na odwrót“.

XXIV.

W którym Tankred znalazł wreszcie to, czego szukał.

— O! — zawołał wicehrabia — otóż to tytuł piękny, co się zowie!

— Najpiękniejszy ze wszystkich — odparł Slovius Jumble z zapałem. — Przejście z życia do śmierci i na odwrót! Czy pojmujesz pan? To znaczy powrót do życia po śmierci.

— Po pozornej śmierci zapewne? — zauważył Tankred półgłosem.

Lecz doktor nie raczył słyszeć i mówił dalej z ożywieniem:

— O powrocie do życia za pośrednictwem przeciwcruzyn, chemicznych oddziaływaczy, elektryczności, magnetyzmu... O! są to wielkie tajemnice... Już od czterdziestu lat pracuję nad ich zgłębianiem, a dopiero od sześciu miesięcy powiodło mi się wpaść na prawdziwy trop i dojść do gruntu rzeczy. Nie ma ani jednej baśni starego świata, ani jednego cudownego płynu, lub czarów średniowiecznych, których bym nie badał / tajemnicy. Medea, Circe, Lokusta, czarnoksiężnik Merlin, Mikołaj Flamel, Borgia, Nostradamus Brinvilliers, Cagliostro, Mesmer, słowem wszyscy alchemicy i magicy znajdują się w tem dziele odskonięci i tym razem przez ścisłą naukę! Lecz trzeba spieszyć się z dokończeniem, gdyż może jutro utną mi głowę. Ściecie! Ach! co za pyszne doświadczenie, z którego zapewne zdam sprawę sobie samemu, lecz którego niestety, nie będę mógł ani opisać, ani analizy jego wydać światu.

Fitz-Gerald i Gaillefontaine nie zdołali powstrzymać się od uśmiechu.

— Panowie, oświadczył uroczyście uczony — dzieło to zawierać będzie osobiste wrażenia powieszzonego, którego przywrócił do życia wasz sługa.

— Ależ nie był on zapewne zupełnym nieboszczykiem! — zawołał Tankred.

— Kto to wie! — rzekł doktor. — W każdym razie nie wiele brakowało do tego. Owe coś, stanowiące stan przejścia pomiędzy życiem a śmiercią, jest rzeczą niezmiernie delikatną, jest prawie: niczem... i to właśnie stanowi główny przedmiot mego dzieła. — Be, or not to be! Gdzie kończy się jedno, gdzie zaczyna się drugie?... Oto przypatrz się pan zemdeniom, pewnym naturalnym letargom, stanowi kateptycznemu, a nawet samemu snowi, który również jest przedśionkiem śmierci. Czyż zresztą nie mówimy: umrzeć z boleści? To jest wyznaniem, że chwilowo życie zostało zawieszonym. Środkami sztucznymi nauka może także przerwać go, lub odnowić i to nawet po długiej przerwie, jak to zaraz udowodnię panom.

Mówiąc to, Slovius Jumble otworzył pudełko, wyjął z niego zupełnie wyschniętą żabę i położywszy ją na stole, poprosił wicehrabiego, aby mu pomógł wprowadzić w ruch przyrząd elektryczny.

Żaba dotknięta igłą magnesową zadrzęła, łapki jej poruszyły się, nawet szczęki otworzyły się nieco.

— A co? czy nie poruszyła się! — zawołał uczony.

— Lecz czy odżyła? — zapytał Tankred.

— Nie — odparł Slovius — lecz gdybyśmy mieli jakie żyjące zwierzę, uszione przezemnie, lub ludzką istotę, którąbym pogrążył w stan letargiczny, albo raczej w śmierć pozorną... wtedy zobaczylibyśmy rzeczy prawdziwie cudowne. Bo oto serce przestało by uderzać, nastąpił by zupełny brak, nawet najłżejszego oddechu, nieporuszonność, sztywność, nieczułość czysto trupia i to na wiele godzin, na wiele dni nawet, a przecież potem przywrócił bym znowu życie. I to wszystko wykonał bym tu, w obec was, panowie, jedynie za pomocą kilku kropel pewnego płynu, który odkryłem i którego recepta znajduje się w tym oto rękopismie!

Od pewnego już czasu wicehrabia widocznie był zamyślony.

— W istocie są to cudowne rzeczy — odezwał się — i dałbym za to wiele, gdybym mógł być obecnym przy tak ciekawem doświadczeniu. Zająłem się tem żywo, wierz mi pan.

— Na nieszczeście — odparł uczony doktor — brak nam czasu i przedmiotów, na których moglibyśmy wykonać doświadczenia. Przytem, moi panowie, nigdy nie skończę mego dzieła, jeżeli nie będę mieć czasu do pracy. Daję wam więc jeszcze tylko pięć minut i ani sekundy więcej.

Użyto ich na rozmowę o stanie zdrowia Fitz-Geralda. Doktor oświadczył, że rana jest już zupełnie zagojona i ręczył za wyzdrowienie chorego, zastrzegając sobie jeden tylko warunek: odzyskanie wolności i spokoju.

— Mam nadzieję, że jutro jeszcze raz powrócę

do lorda Edwarda — rzekł Gaillefontaine, żegnając Sloviusa Jumble. — Czy mogę liczyć na kwadrans rozmowy w kwestyi czysto naukowej? Czy zechcesz, szanowny doktorze, wysłuchać mnie tej łaski? Dzieło twoje zajęło mnie do tego stopnia, że będę myślał o niem przez całą noc.

Wyrazy te wielce podechlebily staremu uczonemu.

— Dobrze, dobrze dam panu chętnie żądane posłuchanie — odparł. — Do jutra zatem!

Powróciwszy do pokoju Fitz-Geralda, Tankred zapytał go:

— Czy czasem człowiek ten nie ma pomieszanja zmysłów?

— Och, jak można przypuszczać coś podobnego! — zawołał z żywością lord Edward. — Slovius Jumble jest najuczciwszym i zarazem najzaniejszym z ludzi! A gdybyś wiedział, wicehrabio, jak mnie starannie pielegnował! Gdyby nie jego poświęcenie, byłbym z pewnością umarł. Jest to wysoce uczciwy i rozumny człowiek.

W kilka chwil później, Tankred oddalił się z Newgate.

Powrócił nazajutrz, przyprowadzając ze sobą rodzinę więźnia.

Czyż można opisać to spotkanie, tę błogosławioną godzinę, podczas której wszystkie cierpienia wczorajsze, wszystkie niepokoje jutra, zostały na chwilę zapomniane?

Już sześć miesięcy Fitz-Gerald był rozłączony z żoną, przez sześć długich miesięcy nie widział nikogo z drogiej mu osób, ani matki, ani siostry i one niestety! przeżyły sześć miesięcy niepokoju, tęsknot, bolesnego żalu.

Pierwsze uniesienia były radością bez granic. Ściskano się, wpatrywano się w ukochane twarze, śmiejąc się, płacząc. Ach! były to słodkie łzy szczęścia.

Oboje dzieci siedziało już na kolanach ojca. Wypytywały go o coś bezustannie, obsypując najczulszemi pieścizotami. A co tam było rozkosznych słów, ile wdzięcznych figli? Potem nastąpiły krzyki radości, prawdziwe święgotania ptaśzat, odzywających się w gniazdkach kwietniowych.

— Jakże wyrosły! jak wypieknały! jakże kocham je! — powtarzał ciągle biedny ojciec, rozpromieniony radością.

Jeżeli na chwilę odwracał się od nich, to jedynie, aby ucałować żonę, przemówić kilka serdecznych słów do Łucyi i Kornelii, przycisnąć sobie do ust ręce matki.

Wszelki ślad cierpienia zniknął z jego błyszczącej radością twarzy. Nawet pokój więzienny przybrał świąteczną postać. Fitz-Gerald zdawał się znowu być tym samym szczęśliwym i wesołym człowiekiem, którego Tankred ujrzał w ogrodzie Kildare.

Wreszcie po przejściu pierwszego wzruszenia, ściśnięto się w kupkę, dla pomówienia o wspólnych nadziejach i obawach.

Tankred przez delikatność usunął się, przeszedłszy do pracowni doktora.

Gdy w godzinę później wszedł tam Fitz-Gerald, zastał ich rozmawiających po cichu, jak dwaj starzy przyjaciele, a oczy obydwóch błyszczały niezwykłym ożywieniem.

Gaillefontaine siedział na fotelu Sloviusa Jumble, który pochylony nad stołem, wskazywał mu jakiś ustęp sławnego rękopismu.

Czytanie zajęło ich do tego stopnia, że wcale nie słyszeli otwierających się drzwi.

— Cóż tam szepczecie z takim zapałem? Czy knujecie jaki spisek? — zapytał lord Edward, zatrzymawszy się w progu.

— Rozmawiamy o cudach chemii, o magnetyzmie — odpowiedział Tankred. — Doktor był tak łaskaw, że wyjaśnił mi jeden z ciekawych ustępów swego znakomitego dzieła i właśnie gorąco pragnę dowiedzieć się dokładnie o pewnej rzeczy, którą mnie mocno zajmuje. Jeszcze więc zostawisz nas hrabio, przez chwilę samych. Natychmiast powrócę.

— Widzę, że nasz wicehrabia chce zostać uczonym — rzekł z żartobliwym uśmiechem Fitz-

Wódz-Duch Arkusz 9.

Gerald, obracając się do Pameli, która z twarzą zalaną łzami, wsparła się na ramieniu męża.

Lecz w tej samej chwili na progu drzwi wchodowych ukazał się strażnik. Nastąpił czas rozłączenia się.

Trzeba się było pożegnać, przecież wiechrabia pozostawszy sam ze Sloviusem Jumble, zbliżył z pośpiechem usta do ucha starca, i zapytał go cichym szeptem:

— Więc utrzymujesz pan stale, że rzecz jest możebną?

— Tak, lecz nie bez niebezpieczeństwa — odparł doktor.

Tankred zadrżał, i zdawało się, że się w czemś zawahał.

— Wszak doktorze kochasz Fitz - Geralda? — spytał znów po chwili milczenia.

— Jak rodzonego syna — zapewnił Slowius ze wzruszeniem.

— I ryzykował byś?...

— W razie ostateczności nie wahał bym się. Nazywamy to w medycynie środkiem bohater-skim.

Dwaj nowi przyjaciele zamienili jeszcze kilka słów głosem znizonym.

Zawezwano ich do sąsiedniego pokoju, gdzie doktora spotkały podziękowania od wszystkich, nie wyjmując nawet dwójga dzieci.

Edward podniósłszy je po kolei aż do twarzy swego starego towarzysza wieźnienia, mówił do nich z głębokim wzruszeniem:

— Dzieci, ucałujcie serdecznie mego kochanego doktora. Jemu zawdzięczacie życie waszego ojca.

— Połączenie z wami uzdrowiło by go zupełnie — odrzekł uczony, gładząc ręką jasnowłose główki aniołków.

Ale strażnik zaczął się niecierpliwić i przypomniał więźniowi, że chwila szczęścia już upłynęła.

Nastąpiło pożegnanie, połączone ze łzami i pocałunkami, poczem ciężkie drzwi oddzieliły znów więźnia od wszystkiego, co mu było drogim na ziemi.

Wsparta na ramieniu Kornelii księżna wyszła pierwsza.

Za nią postępowała przez korytarz Pamela, niosąc na rękach starsze dziecko, wyrwyjące się z jej ramion i głośno wołające ojca.

Lucy niosła młodsze, a Tankred szedł obok niej.

— Odwagi! — szepnął jej, korzystając z chwilowego ucieśnienia się dziewczynki. — Znalazłem to, czego szukałem. Milczenie!

XXV.

S a d.

Było to 20 Maja.

Pomimo ścisłej tajemnicy, zachowywanej przez rząd, cały Dublin wiedział, że miało nastąpić posiedzenie trybunału w celu sądenia więźniów.

Jeszcze przed świtem — gdyż sąd przysięgłych rozpoczął się o szóstej godzinie rano — nadzwyczajny ruch ożywił ulice i wybrzeże rzeki Liffey. Gdy ukazało się słońce, promienie jego oświeciły przeszło dwudziesto tysięczny tłum ludzi, oblegających bramy Pałacu Sprawiedliwości.

Znajdowały się tu wszystkie klasy społeczeństwa.

Równie liczne tłumy zalegały przeległe ulice i wybrzeże rzeki.

Nawet na Liffey były łodzie zapełnione przez ciekawych.

Lord Cornwallis w przewidywaniu poruszenia ludowego, rozstawił na ulicach i placach wszystkie

wojska, jakie tylko miał do rozporządzenia. Podwójny szereg czerwonych mundurów rozciągał się pomiędzy trybunałem i więzieniem. Szkoci markiza Huntley, półk zwanym Irlandzkim, a stanowiący milicją Ulsterską, konnica galijska, czarni ulani barona Homspach, rozstawieni zostali w różnych miejscach, dla niesienia pomocy piechocie i powstrzymania, w razie potrzeby, wzburzenia ludowego.

Na wielkim placu, wprost przedsiönka pałacu sprawiedliwości sir Reginald na pięknym karym koniu stał na czele jednego ze swych szwadronów, który dopiero wczoraj wieczór powrócił z Kildare.

Błękitu niebios nie czuła ani jedna chmurka. Był przesłiczny poranek wiosenny.

Tankred wstawszy jeszcze przed świtem, przebiegał ulice, przyglądając się zgromadzonym tłumom.

Głuche szemrania, groźny wyraz twarzy pełen namiętnej nienawiści, ogniste spojrzenia, wszystko to zwiastowało znane wiechrabiemu oznaki wielkich rewolucji.

— Och, och! — szepnął zeicha — jeżeli Dublin podobny jest do Paryża, dziś wieczór będziemy mieli burzę?

Punkt o szustej godzinie huk działa, wystrzelonego na wieży Buckingham, zwiastował miastu, że więźniowie opuścili w tej chwili Stary Zamek.

Było ich trzydziestu; prócz Fitz - Geralda O'Connora, sir Addisa Emmetta braci Sheares i doktora Slowiusa Jumble, stawiono przed sądem dwudziestu czterech mieszczan i wieśniaków, uwięzionych w różnych miejscach, w skutek doniesień. Uważano ich również za więźniów stanu.

Za zbliżeniem ich ozwały się ogłuszające okrzyki. Posypały się przekleństwa na Anglików, wołano: — niech żyje O' Connor! niech żyje Fitz - Gerald! Rzucano kamieniami na żołnierzy. Zaledwie kilkakrotne szarże konnicy stłumiły pierwszy wybuch gniewu oburzonego ludu.

Według rozkazu, nadesłanego z Londynu, wyrok miał być wydany tego samego dnia. Dla tego to posiedzenie rozpoczęto tak wcześnie. Gdy więźniowie weszli, już sędziowie, w liczbie dwudziestu czterech, znajdowali się na swoich miejscach.

Pat zdołał przecisnąć się do sali.

— Na S-o Patryka! — odezwał się spostrzegłszy ich — same angielskie buzie!

Przeciwnie publiczność była złożoną z samych Irlandczyków. Ich twarze i postawy dawały to poznać odrazu, taki wyraz boleści, gniewu, rozżalenia malował się w całym zgromadzeniu.

Więźniowie mogli tu budzić najwyższą sympatię O'Connora, majestatyczny i poważny w siwiejącej brodzie i z piękną twarzą patryarchy. Fitz - Gerald błady i zeszczupłały na pierwsze zaraz wejrzenie, przedstawiał się jak rycerz i bohater-ski męczennik świętej sprawy? A bracia Sheares, dwóch pięknych młodzieńców, kochanych od całego ludu dla swych cnót, talentów i wzajemnego przywiązania braterskiego, które poetyczna Irlandya miała wkrótce uwiecznić w rozczulającej legendzie!

A i Slowius Jumble wywierał również niemaly urok. Nie dla tego aby się miał wystroić starannie, gdyż przeciwnie od stóp aż do głowy, a raczej do peruki, wszystko wyglądało jakoś opacznie. Lecz oprócz swej ogromnej wziętości — był on bowiem doktorem i dobroczyńcą biednych — zaen doktor spoglądał na swych sędziów, z taką jakąś dobrotliwą żartobliwością, że już nie jeden z pocziwych Irlandczyków szepnął do ucha swego sąsiada:

— Założył bym się, że doktor ma dla nich w zapasie jakąś gorzką pigułkę, której nie potrafią strawić. O, S. Patryku spraw, aby popękali od niej co do jednego!

Dodajmy do tego, że więźniowie nie widzieli się z sobą od sześciu miesięcy, w skutek czego na-

stąpiły teraz pomiędzy niemi serdeczne powitania, budzące ogólne wzruszenie. Bracia Sheares, pomimo usiłowań konstabli, starających się ich rozdzielić, rzucili się sobie w objęcia.

W pośród publiczności, natłoczonej w zbyt ciasnym stosunkowo miejscu, dał się słyszeć głośny płacz kobiet. Rozpychano się, ciśnięto, każdy pragnął widzieć i słyszeć więźniów.

Jak zwyczajnie na posiedzeniach sądów przysięgłych, na estradzie, znajdującej się po za trybunałem sędziów zachowane były miejsca dla uprzywilejowanych osób. Widziano tam kilka pań. Ponieważ Fitz - Gerald prosił matkę, żonę i siostrę, aby ich tam nie było, siedziała więc tam sama tylko Kornelia, i Gaillefontaine.

W pośród adwokatów, Daniel O'Connell odznaczał się wysokim wzrostem i młodością pełną poważnej energii.

Gdy uciszyło się w sali, prokurator rozpoczął oskarżenie, pełne przykrej przesady; porównał oskarżonych do złych duchów i upiórów, chcących krwi ludzkiej.

Rozbierając ich prywatne życie, wykazał dowodnie, że stary O' Connor, potomek króla Rodryka, miał skłonność do tyranii; że Fitz - Gerald, będąc już zbiegiem z wojska, które nieszczęśliwie walczyło w Ameryce, był odstępca i chciał oddać Irlandję Francji; że bracia Sheares byli poetami i zapalonymi marzycielami, niebezpiecznymi, niezasługującymi na żadne względy. I tak dalej i tak dalej. Mówił zjadliwe kłamstwa, aż w końcu zażądał jednej i tej samej kary dla wszystkich obwinionych, z tą tylko małą różnicą, aby szlachta została ścięta, resztę zaś powieszono.

Po długim szmerze oburzenia, przystąpiono do przesłuchania świadków.

Było ich nie wielu. Główny dowód stanowiły: plany powstania, listy, pisma a nawet wiersze, pochwycone w mieszkaniach większej części oskarżonych, a nadewszystko w domu Tomasza Raynolda. Prokurator powoływał się na te dokumenta w swej mowie.

Z kolei rozpoczęły się obrony adwokatów.

O' Connor nie przyjął żadnego i odmówił wszelkiej odpowiedzi na zadane mu pytania przez przewodniczącego.

— Możecie mnie zamordować — oświadczył — ale nie będziecie sądzić.

W sali dały się słyszeć oklaski, natychmiast powstrzymane.

Curran, adwokat braci Sheares napisał swą obronę. Praca jego dotąd jest uważana za znakomitą, tak przez głęboką wiedzę prawniczą, jak i przez gwałtowne obelgi, miotane na władze angielskie. Przy opisie życia dwóch braci, przy wspomnieniu na ich młodość tak pełną nadziei, ich tkliwą miłość wzajemną, słowa jego wycisnęły łzy ze wszystkich oczu.

Następnie Slowius Jumble powstawszy, rozpoczął sam swą obronę w następujących słowach:

— Zwracam się do ciebie — mówił do prezydenta — panie Mac Flood. Sądzę, że masz nieco zdrowego sądu o rzeczach. Zauważyłem to przy ostatniej rozprawie, sprzecze, którą mieliśmy oba w Trynity - College, przed jedenastu miesiącami. A lubo wtedy omyliłeś się pan grubo co do rzeczywistej treści celtyckiego napisu, odkrytego w wieży Dattelles - Hamlet, uważam cię przecież za zdolnego do dania mi logicznej odpowiedzi na następujące pytanie: — Zechej mi powiedzieć, panie Mac Flood, czy nie zdarzyło ci się kiedy, zostać obitym i okradzionym, gdy powracałeś wieczorem z Litterary - club'u, którego jesteś pan jedną z najwdzięczniejszych ozdób?

(Dalszy ciąg nastąpi)